Stron 8

Opłata pocztowa uiszczona ryczałtem.

Cena 75 gr.

WIEŚ
tygodnik społeczno-literacki

Rok IX — Warszawa, dn. 10 VIII. 1952 r. — Nr. 32 (366)

ALEKSANDER JUSZKIEWICZ

WCZORAJ I DZIŚ

W systemie burżuazyjnych praktyk wyborczych pisał Lenin, że jest to system „pochlebstwa, łgarstwa, oszustwa, żonglerki modnymi i popularnymi hasłami, obiecywaniem robotnikom na prawo i lewo wszelkich reform i wszelkich dobrodziejstw, byle się wyrzekli rewolucyjnej walki o obalenie władzy“.

O tym, jak cynicznie burżuazja stosowała ten system w okresie dwudziestolecia mówią takie fakty, jak ten, że chłopi z okolic Białej Podlaskiej, Radzynia i Włodawy rzekomo wybrali swoim posłem księcia Czetwertyńskiego. Chłopi spod Siedlec, Węgrowa i Sokołowa rzekomo posłali do Sejmu osławionego reakcjonistę, arcybiskupa Teodorowicza. Za posła fornali spod Płocka podawał się prezes Związku Ziemian. Prezes Lewiatana, Wierzbicki chełpił się, że i on reprezentuje robotników warszawskich. Sanacja jeszcze bardziej udoskonaliła ten system, dzięki czemu 80 tys. chłopów ukraińskich — „wyborców“ z Wołynia „reprezentował“ jako senator książę Janusz Radziwiłł.

Oszukańczy system wyborczy spowodował, że w roku 1919, endecja, reprezentująca oficjalnie interesy obszarników, przemysłowców, kamieniczników i kupców, zdobyła 140 mandatów. Chłopom i robotnikom kazano wtedy głosować na 5 różnych partii, przy vm w każdej z nich rozpierali się agenci burżuazji Niewiele lat upłynęło, a większość tych panów zrzuciła maskę i przeszła do sanacji. Wtedy, w pierwszych latach niepodległości burżuazja musiała jeszcze maskować się. Starczyło jej kul i bagnetów, aby sterroryzować proletariat Czerwonego Zagłębia i rozgromić chłopską Republikę Tarnobrzeską, ale dla opanowania sytuacji w całym kraju takich sił brakowało. Zastąpiło je kłamstwo o burżuazyjnej „demokracji“, wypełniające ordynacje z lat 1919 i 1921.

Ordynacja z roku 1921 nie przeszkodziła faszystowskiej dyktaturze wprowadzić do Sejmu w roku 1930 aż 249 posłów ze znienawidzonego i otoczonego powszechną pogardą BBWR.

Niewiele lat było potrzeba dla zdemaskowania w oczach ludu lokajskiej roli agentur burżuazji w legalnych stronnictwach. Krzepła rewolucyjna świadomość mas. W klasie robotniczej narastała decyzja szturmu na dyktaturę burżuazji. Pamiętamy, jak to Składkowski skarżył się na tajemniczą „mafię w SL“, która pokierowała strajkami chłopskimi wbrew „legalnemu“ kierownictwu SL. Na czele mas ludowych szli wtedy bohaterscy bojownicy KPP. Lud polski zwracał swe myśli i uczucia ku Wielkiemu Krajowi Rad.

Świat kapitalistyczny grzązł coraz bardziej w kryzysie, który Polska jako jedno z najsłabszych ogniw imperializmu odczuwała szczególnie ciężko.

Świat imperialistyczny staczał się ku katastrofie wojennej i znowu Polsce przypadała w tej katastrofie rola szczególnie tragiczna i beznadziejna.

Jednocześnie najbezczelniejsze kłamstwa i najpodlejsze oszczerstwa nie mogły więcej zaćmić imponującego dzieła budowy socjalizmu w ZSRR.

W Polsce narastała fala rewolucyjnych walk. Rozszerzał się i umacniał Front Ludowy. Wtedy to burżuazja dla obrony swej dyktatury musiała coraz częściej oszukańcze słowa zastąpić kulą policyjną. W miejsce lokai stawiała policjantów i żandarmów. W miejsce Konstytucji i ordynacji wyborczej z roku 1921, sanacyjny faszyzm narzucił jawnie faszystowską konstytucję i ordynację z 1935 r. Było to rozszerzenie na cały naród systemu stosowanego wobec KPP już od roku 1919.

Lokaje nie zostali rzecz jasna zwolnieni. Byli potrzebni do grania roli oszukańczej opozycji, do rozładowania rewolucyjnych nastrojów mas. Zaczęła się wielka dyskusja „ideologiczna“ na temat tego, co lepiej służy dyktaturze obszarniczo-kapitalistycznej, bagnet i kula policyjna, czy też oszukańczy frazes i załgany system burżuazyjnej pseudodemokracji? Ratajowi, który w sejmie zapewniał, że tylko cienka karta zapisana paragrafami, to jest konstytucja z marca 1921 r., broni pałacu Radziwiłła, ordynacji Potockich w Łańcucie i innych tego rodzaju placówek kapitalistycznych i że stronnictwo opozycji tę zasłonę ze wszystkich sił podtrzymuje, odpowiedział brutalnie Miedziński: „niepotrzebnie pan Rataj stawia się na posterunku przed pałacem księcia Radziwiłła, bo tam już stoi policjant i to jest pewniejsze“.

Oto jeden z ciekawych aspektów przemian systemu dyktatury obszarniczo - kapitalistycznej od konstytucji i ordynacji wyborczej w 1921 r. do konstytucji i ordynacji z 1935 r. Od Daszyńskiego, Witosa, Korfantego i Grabskiego do Piłsudskiego, Becka, Grabowskiego i Rydza.

W przeciwieństwie do tej drogi burżuazyjnej dyktatury — ZSRR i kraje demokracji ludowej konsekwentnie i w całej pełni urzeczywistniają socjalistyczny demokratyzm. Znajduje to wyraz w rozpatrywanym przez nas projekcie ordynacji wyborczej. Dzięki temu Sejm, powołany w wyniku wyborów opartych na tej ordynacji, będzie istotnie najwyższym wyrazicielem woli ludu pracującego miast i wsi, urzeczywistniającym suwerenne prawa narodu.

Wybory przeprowadzone na podstawie ordynacji wyborczej, rozwijającej zasady Konstytucji Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej staną się aktem politycznym olbrzymiej doniosłości dla narodu polskiego. Zaktywizują one masy ludu pracującego miast i wsi, wydobędą nowe ogromne zasoby energii twórczej, spotęgują entuzjazm i zapał i jeszcze bardziej umocnią wolę patriotycznej walki o najpełniejszy rozkwit narodu polskiego, o jego niepodległość i suwerenność.

W państwach burżuazyjnych akt wyborów coraz bardziej staje się fikcją. Między partią republikańską i demokratyczną w USA, między labourzystami i konserwatystami w Anglii, między prawicą socjal-demokratów a chadecją w Trizonii i we Włoszech nie toczy się walka o programy polityczne. Stronnictwa te wspólnymi siłami walczą z partiami reprezentującymi patriotyczną walkę o wolność i suwerenność narodów, o wyzwolenie i postęp społeczny o pokój. Attlee i Churchill, Truman i Eisenhower, Adenauer i Schumacher robią widowisko wyborcze po to, aby odwrócić uwagę mas od właściwego frontu walki. Od frontu walki między masami ludowymi i ich ciemiężycielami, między siłami pokoju, którym przewodzi Związek Radziecki i siłami wojny, które organizuje imperializm amerykańsko-hitlerowski.

Masy ludowe coraz lepiej poznają się na tym oszustwie. Toteż tam, gdzie nie mogą oddać głosów na prawdziwych obrońców sprawy wolności i pokoju, coraz bardziej odwracają się od aktu wyborczego.

W ostatnich wyborach w USA wzięło udział zaledwie 42 procent uprawnionych do głosowania. W południowych Stanach akt wyborczy jest całkowitą fikcją.

W naszym kraju — w kraju prawdziwej wolności, którego jedynym pełnoprawnym gospodarzem jest lud pracujący, tj. olbrzymia większość narodu, akt wyborczy jeszcze silniej zespoli naród wokół klasy robotniczej w narodowym froncie walki o pokój i Plan 6-letni. Będzie on potwierdzeniem tego, że demokratyzm, który przenika całą naszą Konstytucję, nie jest tylko deklaracją — lecz jest rzeczywistością naszego życia.

Nadchodzące wybory przyniosą jeszcze silniejsze powiązanie mas ludowych z państwem i władzą ludową i w ten sposób potwierdzą, że nasza Konstytucja jest — jak powiedział Prezydent Bolesław Bierut — wyrazem nowych stosunków politycznych, wyrazem władzy ludowej, która ukształtowała nasze Państwo demokracji ludowej, umocniła jego autorytet, jego siłę, jego organizację, ugruntowała prawa i wolności demokratyczne, jak również obowiązki obywatelskie.

Wybory te — pierwsze wybory po uchwaleniu Konstytucji — jako wyraz urzeczywistniania przez naród jej zasad potwierdzą historyczne słowa Prezydenta Bieruta, że „Konstytucja Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej wzmacnia siły naszego narodu, jeszcze bardziej cementuje nasz front walki o utrwalenie pokoju, o realizację Planu 6-letniego... że ta Konstytucja jest tarczą i orężem naszego narodu w walce o rozkwit i świetność naszej Ojczyzny Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej“.

Aleksander Juszkiewicz

Fragmenty z przemówienia wygłoszonego w Sejmie.

EDMUND NIZIURSKI

W ROCZNICĘ STRAJKÓW CHŁOPSKICH

PACYFIKACJA KOZODRZY

Parnej i dusznej nocy z dwudziestego na dwudziestego pierwszego czerwca wracał od narzeczonej Filipek. Koło kościoła zobaczył w przyćmionym świetle księżyca mundur i hełm. Zrobiło mu się nieprzyjemnie. Nie dlatego, że twarz policjanta była zielonkawa i trupia — to od księżyca. Ale to była obca twarz. Obca policja we wsi, to nie mogło oznaczać nic dobrego. Obszedłszy z daleka policjanta pobiegł alarmować kolegów i sąsiadów.

Gdy wychodził od Worków, zobaczył nadjeżdżające od strony Sędziszowa dwa kryte samochody. Zza opuszczonych szyb błyszczały hełmy. Auta zatrzymały się tu i tam i wysadzały grupki po czterech policjantów. Jeden zostawał u wejścia do domu, trzech wchodziło do wewnątrz. Widać było, że działają według obmyślonego planu. Nie mylili się w adresach.

Alojz Nawoj długo nie otwierał. Policja dobijała się kolbami.

— Puszczaj ścierwo, bo ci rozwalimy budę!

Wreszcie drzwi nie wytrzymały. Świecąc latarkami, z wystawionymi naprzód jak do strzału lufami wtargnęli do wnętrza. Jeden od razu stanął przy oknie, drugi przy drzwiach. Dwu pozostałych zaczęło



Drzeworyt Tadeusza Kulisiewicza

szperać po izbie. W zaciekłym milczeniu przerzucali wszystko po kolei, demolując mieszkanie systematycznie, metr za metrem. Wygarnęli z półki na ziemię szkło i garnczki, wybebeszyli pościel, poprzewracali łóżka i stołki. Lecz nie mieli tu wielkiego pola do popisu. Ciasna izba i bezwartościowe rupiecie. Gruby policjant z trzema belkami na ramieniu stanął i rozglądał się skwaszony. Była jeszcze kołyska z płaczącym w niebogłosy maleństwem. Podszedł i wywalił. Niemowlę padło na podłogę i umilkło. Matka chwyciła je na ręce i przycisnęła do piersi, szukając oddechu.

Nawoj krzyknął boleśnie jak człowiek śmiertelnie zraniony i złapał za stołek. Ale w tej samej chwili, uprzedzając jego cios, rzucili się na niego dwaj mundurowi. Dostał pałką w skroń. Uchwycili zwiotczałe ciało pod ręce, trzeci spokojnie nałożył mu kajdanki. Chlusnęli mu wodą w twarz i popchnęli do wyjścia.

Lecz kiedy wlekli swą ofiarę koło sąsiedniej budy, świsnął im nad głowami kamień trafiając grubego przodownika. Charcząc i plując krwią z rozbitej twarzy zaczął krzyczeć coś niezrozumiale do pozostałych, pokazując ręką wstecz na drogę. Obejrzeli się. Drogą uciekał chudy, zarośnięty, półnagi chłop. Celując w niego światłem sypnęli strzałami lecz uskoczył w bok i znikł w ciemnej otchłani błonia.

Okrążając budy łąkami ochłonął dopiero na błoniu pod kościołem. Tutaj na skrzyżowaniu dróg chłopi wznosili pośpiesznie barykadę z drzewa przygotowanego nieopodal pod budowę mostu. Otarł pot z czoła.

— Co stoisz? — krzyknął na niego Filipek. — Tera masz rewolucję!

W bladym świetle wstającego poranku przemykały się przez wieś cienie napół ubranych ludzi i rozlegały wezwania:

— Wszyscy wychodzić!... Chłopów biorą!

— Na błonia! Pod kościół wszyscy! Pod kościół!

Ludzie wysypywali się z chałup. Rósł gwar i okrzyki — Niedoczekanie ich! Nie damy nikogo! Za to, że się za ludźmi ujęli?

Polami, na przełaj pobiegli gońcy do sąsiednich wsi po pomoc, wnet przybyli pierwsi ludzie z Wiśniowej i Wiercan.

Dochodziła już chyba czwarta godzina, bo rozwidniło się zupełnie i chmury nad kościołem podszyły się złotą jasnością, kiedy zza zakrętu od strony kościoła wyjrzała czarna kolumna policji.

— Idą! — przez tłum przeszło drżenie. Chmiel zacisnął kamień w ręce i na moment pożałował swojego bagnetu porzuconego w Kozodrzy.

Policjantów było szesnastu, wszyscy w hełmach bojowych, szli pieszo w zwartym szyku trzymając w rękach karabiny z lufami przy ziemi. Zatrzymali się w odległości stu metrów od barykady i dowódca drużyny, mały szczupły policjant krzyknął:

— Rozejść się! W imieniu prawa!

Tłum nie drgnął nawet, wszyscy stali przy barykadzie, posępni i milczący. Komendant wydał rozkaz:

— Ładuj broń!

Policja z jakby umyślnym trzaskiem naładowała karabiny.

— Ostatni raz rozkazuję, rozejść się! — krzyknął mały komendant.

W odpowiedzi posypały się wyzwiska i przekleństwa.

— Nie ruszymy się dopóki ich nie wypuscicie!

— Za co ich aresztujecie?!

— Puścić!

— Precz!

— Wynocha ze wsi!

— Nie damy nikogo!

— Możemy wszyscy iść! — krzyknął posępnie Chmiel, postępując naprzód. Tłum zafalował i zaczął powoli przeć na policję, zbliżając się do niej ostrożnie a chciwie.

— Stać! Rozejść się! — krzyczała zdenerwowana policja. Takiego zachowania się tłumu widocznie nie przewidywała.

— Chodźcie bliżej, skurczysyny! — kiwano na nich, obrzucając plugawymi przekleństwami.

— Spokój! — darł się teraz już zupełnie cienko mały komendant i szeptał coś przerażony staremu grubemu policjantowi. Ten poprawił pasek od hełmu i zawołał:

— Ludzie, pan aspirant wam dobrze radzi, rozejdźcie się po dobremu, bo jak nadjadą samochody, to bidnie będziecie wyglądali.

— Kogo wy, ludzie, chcecie bronić, tych psów komunistów, tych zdrajców i bezbożników? — krzyknął jakiś młody mundurowy przepisowego wzrostu.

W odpowiedzi posypały się kamienie.

— Żebyś wiedział... komunistów! — ryknął Filipek.

Zakręcił się jak dyskobol i płasko z wysokości biodra cisnął kamieniem w policję. Nie chybił. Drągal chwycił się oburącz za brzuch i osunął na drogę. Chłopi z rykiem rzucili się na mundurowych, waląc drągami po hełmach.

*

Uliasza obudziły strzały, które oddała policja za uciekającym Chmielem. Wygrzebał się z barłogu i pokuśtykał na wieś. Tu stanął zdezorientowany. Próbował dowiedzieć się od rozgorączkowanych ludzi o co chodzi, ale nikt nie miał czasu objaśnić.

Wtem nadjechało galopem czterech policjantów na koniach.

— Rozejść się! — krzyknęli.

Niedaleko w czeluści drogi zamajaczyło czarne pudło policyjnego auta. Uliasz przytulił się do skarpy drogi. Zobaczył jak prowadzili skutego Szeligę. Jasne włosy opadały mu na oczy. Strząsał je ruchem głowy.

— Dumny chłopak — pomyślał Uliasz ze ściśniętym sercem.

Za Szeligą szedł Jaworski. Głowę przyprószoną już siwizną trzymał wysoko i godnie.

Salamona Jana prowadzili pod ręce. Uliasz nie mógł go poznać. Salamon twarz miał opuchłą i czarną. Był skatowany jeszcze na strychu, gdzie spał.

Młody Jasiek Pietrzak szarpał się i o mało co nie wyrwał im się z rąk. Konwojenci rzucili się na niego z pałkami i póty tłukli go po głowie aż nie obwisł im bezwładnie na rękach. Wtedy pociągnęli go jak rzecz martwą i rzucili do samochodu.

Oczy Uliasza powilgotniały.

— Jezusie... Jezusie... — wyszeptał trzęsąc bezsilną głową.

Oderwał się od swojej skarpy i podbiegł do policjantów. — To zbrodnia tak ludzi poniewierać! Za co ich bierzecie? Za co? My mamy przyrzeczone od starosty ropczyckiego, pana Celewicza i od pana prokuratora, że nikogo aresztować się nie będzie!

— Uciekaj, dziadu cholerny, bo oberwiesz! — pchnął go policjant kolbą.

— Ty na chłopa ręki nie podnoś, bo on cię żywi — krzyknął Uliasz.

Policjant dobył pałki i dołożył mu z drugiej strony. — Ja do waszego komendanta... pójdę — dyszał Uliasz. — Wy tu prawa zadnego nie macie.

Cofnął się do miejsca gdzie stało auto, z którego wyglądały czapki w srebrnych otokach Zdjął kapelusz i do samochodu się przeciskał.

— Wróć! — konny policjant natarł na niego koniem i obalił na ziemię. Uliasz z trudem wstał i chciał podnieść kapelusz, ale jakiś młodzik w hełmie przygwoździł mu go do ziemi bagnetem i patrzał rozbawioną miną na starca. Inni poczęli Uliasza odpychać kolbami. Oparł się dopiero przy szkole. Rozglądał się po Nockowej jakby ją pierwszy raz widział — Co robić? Co robić? — serce łomotało mu nieprzytomnym rytmem. — Gdzie jest Bart? Gdzie Smorgoń? Czemu nie działają? Gdzie się podziewają w takiej chwili? Powinni coś robić interweniować, bronić.

Utykając i sapiąc zaczął wspinać się pod górę do domu Barta.

Bart nie spał. Stał boso w koszuli w ganku i wsłuchiwał się w odgłosy dochodzące z drogi.

— Bart, dobrze, że nie śpicie — dyszał Uliasz.

— Bo co? — zapytał Bart spokojnie. Nie wydawał się zaskoczony. Uliasz zawsze podziwiał jego mocne nerwy.

— Chłopów aresztują! — wykrztusił

— Kogo?

— Szeligę, Jaworskiego

— A... — rzekł Bart chłodno — i kogóż jeszcze?

— Pieprzaka, Salamona, obaj do nieprzytomności pobici, braci Nawojów...

Bart uśmiechnął się słabo i dodał:

— I braci Kicińskich i Duszę Jana i pewnie Filipka jeszcze...

— Wy wiecie? — wyszeptał Uliasz

— No, można się było spodziewać — wycedził Bart.

— Słuchajcie, ratować ich trzeba... widziałem jak ich bili... — wpatrywał się w chłodną twarz Barta. Jego starcze oczy żebrały...

Bart odwrócił głowę.

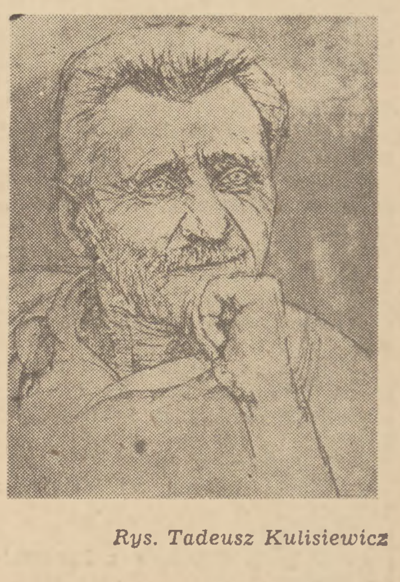
— Cóż, ja ich ostrzegałem...

— Każdego z nich od małego znałem, to przecież ludzie z naszej wsi, Bart.

— Miękie serce macie, Uliasz. Pewnie ludzi żal... mnie też ludzi żal... ale pomyśl Uliasz, to przecież komuniści...

— Ja tam nie wiem... nie myślałem... co za różnica... Starosta obiecał wszystkich od kar uwolnić... mówił, że aresztować nie będzie.

Bart wzruszył ramionami i głową smutno jakoś pokręcił. — Ech,



Rys. Tadeusz Kulisiewicz

Uliasz, starzejecie się... Takich prostych rzeczy nie rozumiecie. On by im wtedy i gruszki na wierzbie obiecał, byle go puścili. Nie widziałeś jak portkami trząsł. Ale co warta taka obietnica jak z nożem na gardle wymuszona. On by nawet nie mógł jej spełnić choćby chciał. Bo on takiej władzy nie ma.. Prawo jest, rozumiesz? Karne prawo! Za podżeganie i rozruchy i łżenie władzy kara przepisana i koniec.

— Bart?

— Tak, tak, Uliasz, dlatego mnie już wtedy śmiech brał i żal na przemian z tych targowań ze starostą... z tej ludzkiej głupoty.

— Nie z głupoty... Bart... gdybyś tam w budach tydzień chociaż pomieszkał, gdybyś lebiodę zamiast chleba jadł i patrzał jak ci dzieci tyfus dusi...

Bart skrzywił się boleśnie.

— Ale co ja mogę zrobić?

— Iść... do policji przemówić... wstawić się... wytłumaczyć... oni się przecież znają...

— Ja już za nich więcej szyi nadstawiać nie będę.

— Bart, to przecie chłopi, chłopi najbiedniejsi...

— Ale mądrale są, mądrzejsi od innych, niech mają, niech...

*

Kolumna czekała gotowa do drogi. W pierwszym samochodzie skuci aresztanci z pieszą policją, w drugim komendant akcji — komisarz Szpringer i inspektor policji z Krakowa. Obok nich stali Kołcz i Szumski. Po obu stronach samochodów konna policja.

Komisarz dawał już znak do odjazdu, gdy na drodze pojawił się zadyszany przodownik.

— Proszę o rozkazy... Nie rozeszli się — meldował z daleka.

— Nie rozeszli się? — skrzywił się komisarz. — Trzeba ich było poklepać.

— Melduję, klepaliśmy i nic... Strzelać rozkazu nie było — dorzucił tonem usprawiedliwienia.

— Dużo ich tam? — zapytał komisarz.

— Z pięciuset będzie i wciąż jeszcze przybywają z innych wsi. Jakąś organizację mają czy co? Próbowaliśmy rozpędzić, to z drągami na nas. Są ranni.

Inspektor przyłożył do zaspanych oczu lornetkę.

— Niesłychane — powiedział marszcząc się — Wzięliśmy przecież tylko samych komunistów... Pan się nie pomylił, Kołcz?

— Nie, panie inspektorze!

— Więc o co tym ludziom chodzi? — odstawił lornetkę — W Kozodrzy na samo słowo „komuniści“ rozbiegło się wszystko... Czy ci ludzie wiedzą, że bronią komunistów?

— Tak jest, panie inspektorze — wyjaśnił szybko Kołcz.

— Pytam się, czy to zostało im wyjaśnione? — zwrócił się zdenerwowanym głosem do małego aspiranta.

— Tak jest! — wyprężył się aspirant.

— I co?

— Obrzucili nas kamieniami.

Chwilę trwało kłopotliwe milczenie. Nagle zaskrzypiał rozdrażniony głos inspektora:

— Na co pan jeszcze czeka, komisarzu, aż cały powiat się zleci? Akcję pan rób!

Edmund Niziurski

Fragment większej całości

STANISŁAW PIĘTAK

ANTOŃCZYK I INNI*)

DO starostwa Antończyk przybył tuż przed dwunastą. Był wtorek, dzień przyjęć interesantów, w poczekalni czekało wielu ludzi i denerwowało się, bo starosty ciągle jeszcze nie było w biurze.

Krzesła ustawione pod ścianami był pozajmowane, Antończyk rozglądnął się po poczekalni i nie widząc miejsca, gdzieby mógł usiąść, stanął na środku i poskrobał się od niechcenia w głowę. Z pokoju starosty wyszedł naraz woźny, mężczyzna jeszcze młody, gładko wygolony o wyglądzie wypieszczonego na białym chlebie lokaja. Strzepnął resztki kurzu z drzwi, przybrał urzędową minę i patrząc to surowym to uniżonym wzrokiem w zależności kogo z interesantów mijał, stanął przed Antończykiem i groźnie brwi zmarszczył.

— A wy po co?

— Ja ze skargą na hrabiego Przecznickiego.

— Phi, zwariowaliście — gwizdnął Wójcicki.

— Jego bażanty zniszczyły mi proso kompletnie. Komisja gminna to uznała.

— Aha, więc przyszliście do nas o poświadczenie.

— Właśnie, bo hrabia wójta naszego nie uznaje. Powiado, że ludowiec i tak dali...

— Wy skąd jesteście? — wtrącił się w tym momencie do rozmowy ubrany po cywilnemu komisarz policji.

— Z Ostrówka.

— U was wójtem jest Jasiniak z Dolin?

— No, tak.

— A braci Kozików z Przecznicy znacie?

— Ma się rozumieć.

Do poczekalni weszła w tej chwili grupa wójtów, szepcząc, gasząc pośpiesznie papierosy. Komisarz odwrócił się w tej chwili i podszedł ku nim momentalnie.

Dwóch wójtów jedynie znał z widzenia Antończyk, wójta z gminy Osin i wójta z Rachowa. Pierwszy, wysoki postawny mężczyzna, nazywał się Popieluch, zachowywał się tak, jakby on był w mieście pierwszym człowiekiem po staroście. Ledwie się odkłaniał ludziom, stał wyniosły uśmiechając się z rezerwą i potakiwał rzadko rozmówcom, jakby każde swoje zdanie cenił na wagę złota.

Kotaba, wójt z Rachowa, zachowywał się zupełnie inaczej. Niski, wyglądający raczej na Cygana niż Polaka, kręcił się jak fryga, chichotał, opowiadał dwuznaczne dowcipy i nie śmiejąc się sam, pobudzał innych do niepohamowanego śmiechu.

— Walery, takie gorąco, nie lepiej by ci to przebić brzuch kołkiem, zaraz by ci ulżyło — pisnął Kotaba i popchnął lekko stojącego za nim tłuściocha, który bez przerwy zaśmiewał się, trzymał się za brzuch i wołał: — Loboga, naprowdę ni mogę, ni mogę.

Nagle jednak umilkli, bo do poczekalni wszedł nowy gość, był to Jasiniak. W odróżnieniu od swoich kolegów ubrany był po wiejsku, w koszuli bez kołnierzyka, zapiętej na guzik, w butach codziennych ledwie oczyszczonych z błota. Był blady, szeroka jego twarz o grubym nosie i niespokojnych, bladoniebieskich oczach była spocona. Przygryzał wargi i nie podchodził do nikogo, trzymał się na uboczu.

— Idzie — ktoś szepnął.

Istotnie, drzwi się rozwarły i stanął w nich już starosta. Gładko wygolona, ładna jego twarz wykrzywiona była grymasem. Zmrużył lewe oko i nie wyjmując rąk z kieszeni u spodni, wysoki i lekko zgarbiony szedł w kierunku Jasiniaka.

— Co wyście, dranie, narobili? — ryknął naraz. — Proszę za mną.

Jasiniak zachmurzył się jeszcze bardziej, otarł nos nieznacznym ruchem i wszedł do pokoju za starostą.

— Da mu wcirę — pisnął Kotaba.

— Uspokój się, nie bądź głupi, Karol — strofował go Popieluch i przybierając maskę obojętności wyjął IKCa z kieszeni i wertował go strona po stronie. Wszyscy drzemiący po kątach mężczyźni i kobiety szepcąc, wysunąwszy głowy, nasłuchiwali.

— To zdrada, to zbrodnia! — ryczał starosta i chodził tam i napowrót po pokoju. Cień jego raz po raz migał po matowej szybie drzwi.

— Walczymy o słuszne prawa, to jest legalne...

— Dam ja ci legalność. Natychmiast wezwać chłopów do przerwania strajku. No, ruszaj na zbity pysk.

— Proszę inaczej mnie traktować, ja jestem przedstawicielem tysięcy ludzi.

— Ty jesteś łajnem, o, wiesz co ci powiem. Dochrapiesz się, popamiętasz. Jeszcze dziś wydam nakaz aresztowania ciebie.

— Aresztować mnie można, tylko jeśli jest prawo po temu,

— Milczeć, chamie, ty nic nie rozumiesz. Tu nie chodzi o wasze partyjne gierki. Tu idzie o losy Polski. Myślisz, że wy to robicie, trutniu jeden, to robią komuniści. W Przecznicy odkryliśmy komórkę Kom. Związku Młodzieży. Dwóch siedzi już pod kluczem. Kto to jest? Kto, byku? Brat waszego sekretarza. Opamiętaj się, masz żonę, masz dziecko, ostrzegam cię ostatni raz.

— Chodzi o sprawiedliwość — bąknął już ciszej Jasiniak.

— Będziesz ty miał sprawiedliwość. Daję ci czasu osiem godzin. Zrób, co każę, potem już będzie za późno.

— Nie da się, naród by rozdarł mnie na kawałki. Zresztą ja jestem karny członek stronnictwa, słucham swoich władz...

— Precz! — wrzasnął starosta i otwarł drzwi z trzaskiem.

Antończyk miał wiele nadziei, że załatwi dzisiaj sprawę, choćby przez Wójcickiego, któremu można było obiecać jaką kurę, toteż był mocno zmartwiony i w pierwszej chwili nie schodził na ulicę. Poczuł ogromne zmęczenie i usiadł na ławce pod ścianą na korytarzu.

— Jednak pan czeka... — Antończyk podniósł głowę i ujrzał przed sobą komisarza policji.

— O to proso idzie?

— Właśnie, tyle drogi zrobiłem na darmo.

— Cóż, sprawa jest błaha, ja mógłbym ją załatwić.

— Pan?

— Poszukujemy młodego Kozika z Przecznicy, on podobno się ukrywa w waszej wiosce, dalibyście znać, od ręki załatwiłbym wam to proso.

— Co? — przestraszył się Antończyk i podniósł się pośpiesznie z ławy. — Jestem porządnym człowiekiem, ja nie szpieg. Za nic, za nic!

— Cicho, daję panu ciastko do gęby, a pan szczeka — zamruczał komisarz. Wyjął papierosa, zapalił go i nie patrząc już na Antończyka, skierował się wolnym krokiem po schodach na ulicę.

*

Psy zaszczekały łasząc się przyjaźnie. Antończyk odruchowo uniósł się z ławki i zobaczył adwokata. Magdziarz szedł z wysokim, młodym mężczyzną i gestykulując zabawnie coś mu opowiadał. Włosy jego już białe, bujne, starannie zaczesane do tyłu, twarz rumiana i świeża jak jabłko, oczy piwne, żywo patrzące.

— Tato, poznaliście gościa? — wołał już z daleka, podnosząc rękę do góry.

Stary Magdzierz poprawił okulary na nosie i wyszedł na schody.

— Coś jakby pan Potoczek — wybąkał.

— Zgadliście. Halino, Halino, pora wyprawić ucztę, pora, czym chata bogata...

Magdziarzowa, wysoka blondynka, o trzydzieści lat chyba młodsza od męża, wyjrzała z kuchni i natychmiast znikła. — Zaraz, ja muszę się przebrać, tak nie można.

— Siadajmy na razie więc tu, panie Potoczek. Masz pan, baby to baby. Potem będzie płakać cały tydzień, że zastaliśmy ją nieubraną.

— Prosty fartuszek czasem najbardziej zdobi — powiedział Potoczek, mężczyzna już chyba po trzydziestce, a wyglądający ciągle na chłopca. Twarz miał różową, prawie bez zarostu, nos krótki i gruby i oczy niebieskie, wilgotne i trochę wystraszone.

Mecenas dopiero teraz zauważył Antończyka i na moment przybrał oficjalną postawę.

— Do mnie, gospodarzu?

— Właśnie.

— W sprawie sądowej, czy innej?

— Jakby tu wytłumaczyć, ja w dość osobliwym interesie. Tyczy się to hrabiego prosa.

— Skąd jesteście?

— Ja z Ostrówka.

— Proszę i was po sąsiedzku na na obiad, gospodarzu, pomówimy o wszystkim przy stole.

Antończyk był zmieszany, patrzył niepewnie po ścianach, na których wisiały portrety rodzinne i amatorskie landszafty i trzymając wciąż kapelusz w ręku, przycupnął na rogu stołu obok Potoczka i starego Magdziarza. Służąca wnosiła już talerze z zupą, ustawiała je przed gośćmi na stole i dysząc wylatywała znowu do kuchni.

— No, w imię Boże — powiedział Magdziarz i ujął łyżkę.

— I chleba, Jadziu, przynieś. W polskim domu nigdy nie powinno chleba braknąć.

— Cóż tam starosta? — bąknęła Magdziarzowa.

— Ano, trochę się nastraszył.

— Przewiduje pan, że strajk przyjmie wielkie rozmiary? — spytał Potoczek.

— No, w miarę, w miarę...

— Do ekscesów chyba nie dojdzie?

— Panie kochany, do tego nie dopuścimy, przecież to byłoby na rękę wywrotowcom, komunistom.

— Żądania są dosyć ostre.

— Doły tego pragną, pan przecież wie.

— Myśli pan, że rząd ustąpi w czymkolwiek?

— Musi, nie dzisiaj, to jutro. Nas jest 80 procent, my jesteśmy narodem.

— Sprawa głównie sprowadza się do pierwszych punktów.

— Właśnie, powrót Witosa, rozpisanie nowych wyborów, współudział w rządzeniu Rzeczypospolitą.

— Pana mecenasa czeka jeszcze wielki los — uśmiechnął się przypochlebnie różowy Potoczek.

— Zobaczymy... Gdy spadnie na barki obowiązek, nie odmówię.

Antończyk nie uporał się jeszcze z zupą, bo jadł ostrożnie i nieśmiało, a tu już służąca poczęła roznosić na półmisku obłożone jarzynami kotlety. Nie mogąc sobie dać rady z nałożeniem mięsa na talerz, upuścił widelec na podłogę i zawstydzony wstał od stołu.

— Spokojnie, przyjacielu, tu tak samo dom chłopski, nie trzeba się przejmować, po gospodarsku nabierzecie, po naszemu — przemówił Magdziarz i zainteresował się wreszcie swoim drugim gościem.

— Przysłał was może Jasiniak?

— Nie, ja w swojej sprawie.

— Tak? Słucham...

— Bo to poszło o proso. A hrabia nie chciał dać odszkodowania— zaczął Antończyk i plącząc się w słowach i gmatwając rzecz okropnie, opowiedział wreszcie historię swojej krzywdy.

— Przecznicki, o, to hycel, ale niedługo już jego władzy, my, chłopi dobierzemy się do niego.

— Załatwi więc to pan prezes?

— Załatwię, a jakże, dlaczego nie miałbym tego załatwić. Napędzę nawet strachu hrabiemu.

— Ale kiedy?

— Moi drodzy, po historycznych wypadkach.

— Hę, nie pojąłem.

— Gdy wygramy strajk.

— Proso jednak może wylecić do cna do tego czasu. Co ja biedak zrobię?

Magdziarz przerwał na chwilę jedzenie i zaśmiał się tubalnie. — Widzisz, panie Potoczek, po co ci wymyślać historie, masz tu naszego chłopa jak na dłoni. Ruszyliśmy do walki, może być rewolucja, a ten tylko o swojej zagrodzie. To proso i świński ogon są ponad wszystkim. Przyjacielu, teraz najważniejsza rzecz nasza walka, proso później...

Do rozmowy wtrącił się w tej chwili Potoczek.

— Pan należy do Stronnictwa Ludowego? — zapytał Antończyka.

— Nie.

— Więc co, jest pan z Ozonu? — chichotnął.

— Zamierzam się właśnie zapisać do Stronnictwa — usprawiedliwiał się Antończyk — nie było czasu, bida. Tuż po wojnie zajmowałem się więcej polityką.

— I na kogoście wtedy głosowali?

— Na kogo? — zastanowił się Antończyk i skonfudował zupełnie.

— Na chłopską listę, na piątkę jakby.

— Piątka to przecie była lista komunistów.

— A, jo już nie wiem, tyle to lat minęło... — Antończyk czuł, że jest cały czerwony i spocony, pochylił się nad stołem, zmieszał straszliwie i już do końca obiadu nie wspomniał o swojej sprawie.

Magdziarz, Potoczek i Magdziarzowa zresztą nie uważali już na niego zupełnie, przysunęli się krzesłami do siebie i zajadając soczyste, żółte gruszki, śmieli się i opowiadali sobie przeróżne historie.

Antończyk siedział jak na tureckim kazaniu, nie pojmując nic z tego, co mówią, wreszcie skorzystawszy, że stary Magdziarz odchodzi, wyszedł też za nim na ganek.

— Jak wam tam na imię, możebyście mi drzewa urąbali — zawołała służąca, wychylając spoconą twarz z kuchni.

— Dobrze — zgodził się pokornie Antończyk. Uważał w naiwności wielkiej, że taki jest chyba zwyczaj, trzeba odrobić to, co się zjadło, zdjąwszy więc katanę, zabrał się pośpiesznie do roboty i rżnął i rąbał sosnowe łupki prawie godzinę. Z jadalni tymczasem wciąż dolatywały na podwórze podniesione ożywione głosy Magdziarza, Potoczka i Magdziarzowej i ich wesoły śmiech.

*

Pochód minął już Wojtkowice, przekroczył most na niewielkim dopływie Wisły, rzeczce bez imienia, nazywanej w każdej okolicy inaczej, wreszcie począł zbliżać się do Garnkowa, wioski rozłożonej na szerokich błoniach o dwa kilometry od miasta.

Manifestanci dopiero w ostatnim momencie zorientowali się, że nadciąga policja. Auta zahamowane gwałtownie zatarasowały drogę, policjanci w stalowych hełmach, w płóciennych ubraniach zeskakiwali pośpiesznie i ustawiali się z karabinami gotowymi do strzału.

Pochód na sekundę jakby zamarł, stanął. Niewielkie grupy ludzi poczęły nawet uciekać, już po chwili jednak rzędy wyrównały się, sztandary wyżej załopotały na wietrze, zaintonowana buntownicza pieśń ogarnęła oddechem olbrzymią masę narodu.

(Dokończenie na str. 7)

*) *Fragment opowiadania o strajkach chłopskich z sierpnia 1937.*

JAN KOPROWSKI

MARSZ NA PRZEWORSK*)

GDY pochód zbliżył się do Błonia Browarnego, liczył on już ze dwadzieścia tysięcy ludzi. Chłopi ciągnęli, zda się, bez końca. Kosy nasadzone na sztorc błyskały w słońcu, co bojaźliwsi zamykali się w swych mieszkaniach, by na to wszystko nie patrzeć.

Na moście prowadzącym do miasta stała policja konna i piesza. Chłopi idąc wznosili okrzyki, które zlewały się w potężny szum, pełen gniewu i grozy. Droga do Przeworska była zamknięta. Pochód począł przechodzić przez gościniec na dużą, rozległą łąkę nad Mleczką, czoło jego zajmowało miejsca pod wysokimi osikami. Wkrótce cała łąka przylegająca do Błonia Browarnego zapełniła się ludźmi. Było ciasno i upalnie. Chłopi siadali na murawie umęczeni i zakurzeni. Nad drzewami krążyły stada wron kracząc nieustannie. Ktoś podniósł głowę do góry, ktoś urągał: „A żebyś się rozdarła od tyłka do gardła".

Policja zebrana na moście zachowywała się spokojnie. Odnosiło się wrażenie, że oczekuje rozkazów, albo że brak wśród nich tego, który decyduje i prowadzi. Chłopi patrzyli na most z nienawiścią, w tłumie słyszało się słowa szyderstwa i pogardy pod adresem policji.

— Pachołki pańskie! Sługusy, psiamać! Krwiopijcy!

Nastrój wśród zebranych z całej przeworskiej ziemi chłopów podnosił się jak woda na wiosnę. Przywódcy marszu na Przeworsk uwijali się wśród nich z powagą. Komitet działał sprawnie. Sekretarz Stronnictwa Ludowego w Błoniu Browarnem Pawelski dołączył się do nich również, był znany i cieszył się opinią człowieka mocnego i nieustępliwego. Wśród zebranych krążyły ulotki. Twaróg wciśnięty między ludźmi, siedząc pod wysokim drzewem na murawie, czytał właśnie, powoli i z trudem, niełatwe słowa:

„...Polityka i gospodarka rozpadającego się kapitalizmu, przerzucającego wszystkie ciężary na ludność pracującą doprowadziły już do tego, że ludzie muszą jako jedyny skutek chwytać za broń, walczyć coraz większą siłą, bezpośredniością i w coraz większej skali. Opinia robotnika, chłopa, inteligencji pracującej całej Polski winna poruszyć się w obronie więźniów faszyzmu.

...Ruch chłopski wiąże się coraz bardziej z walką klasy robotniczej, świadomie zmierzającej do obalenia rządów faszystowskich, do zwalczania kapitalizmu, do przejęcia władzy w ręce rządu robotniczo-chłopskiego."

* * *

Komisarz Frank obrzucał wzrokiem nieprzeliczone masy chłopstwa. Rozumiał, że walkę należy wszczynać ostrożnie. Chłopów siła pokaźna, może tam nawet — myślał komisarz — karabiny mają w ukryciu. Po raz pierwszy w swojej pracy zetknął się z masą ludzką. Gdzieś w głębi niepokój szarpnął jego sercem, na twarzy jednak malowało się opanowanie, a nawet gniew surowy.

Po rozmowie ze starostą i posłem zdecydowali, że trzeba uciec się najpierw do pertraktacji z chłopami. Nakazali stojącemu w pobliżu przodownikowi policji wyciągnąć białą płachtę, uprzednio, widać, na wszelki wypadek przygotowaną. Za chwilę z łąki można było dostrzec furkającą na wietrze tkaninę. Wśród chłopów i w kierownictwie pochodu nastąpiło poruszenie.

Po paru minutach przodownik schował białą płachtę i począł zjeżdżać na koniu po zboczu drogi na skraj łąki. Koń szedł stępa, powoli, przodownik wjechawszy na łąkę zeskoczył z konia i trzymając go za uzdę odezwał się.

— Obywatele chłopi! Wybierzcie delegację. Władze nasze chcą z wami pertraktować. Czekają na was przy moście by móc z wami pójść do starostwa.

Wskoczył na konia i odjechał. Na łące zrobił się ruch. Chłopi gadali między sobą, przeciskali się, szli to do przodu, to do tyłu. Delegacji nie trzeba było wybierać. Na rozmowy do ratusza miało pójść kierownictwo pochodu. Jeszcze naradzano się przez chwilę, jeszcze ustalano krótko formę wystąpienia.

Sześciu ludzi ruszyło w stronę mostu. Wkrótce potem jechali w stronę ratusza. Przez szybę samochodu widać było na kościelnej wieży połyskujące w słońcu lufy karabinów maszynowych.

* * *

— Co się stało? Kto tam tak wrzeszczy?

Policja odpędzała jakichś ludzi, którzy chcieli przedostać się na łąkę. Odpychali ich siłą, tamci zawracali, doszło do małej szarpaniny. Chłopi zaczęli krzyczeć z łąki i wygrażać kijami.

— Pucić ich, puścić!

— Co to za ludzie? — spytał Twaróg.

Twaróg wzruszył ramionami. Wkrótce biegła już wiadomość między chłopami, że to robotnicy z przeworskiej cukrowni szli do nich z pożywieniem. Paru, mimo awantur z policją, zdołało przedostać się na łąkę, przynieśli chleba i kiełbasy.

— Nie dajcie się! — wołali do zebranych. — My z wami!

— Śmierć psubratom!

Robotnicy wtopili się w tłum, zagrzewali chłopów do wytrwania. Policja na drugim brzegu Mleczki stworzyła zamknięty szczelnie kordon. Teraz nikt już nie zdołał przedostać się tamtędy. Wśród chłopów ożywiły się nastroje. Gadali z przejęciem, padały słowa mocne i gorące.

* * *

Rozmowy w ratuszu trwały dwie godziny. Starosta Solański zachowywał się z rozwagą i wielką łaskawością. Komisarz Frank milczał, czasem tylko zamruczał pod nosem jak samowar. Poseł ludowy Moneta był najbardziej czynny i ruchliwy, a lepił się do delegatów chłopskich jak miód.

Przewodniczący delegacji Brożek przedstawił żądania chłopskie, które opracowane były na piśmie. Starosta długo patrzył w białe kartki papieru złożone na biurku. Czytał je dokładnie, powoli, potem przekazał je komisarzowi; poseł Moneta rzucił tylko okiem twierdząc, że zna te warunki bo przecież jest z ludu i dla niego pracuje.

Wśród żądań na pierwszym planie znajdowała się sprawa zaprzestania pacyfikacji na wsiach, dalej: reform rolna, powszechna oświata, zniżki podatkowe, ochrona wolności osobistej.

— Chłopi polscy — wystąpił z wyjaśnieniami poseł Moneta — to w istocie ludzie mądrzy, zrozumieją, że co można, to można, a czego nie można, to nie można.

— Co będziemy mogli — zrobimy — mówił wolno starosta. — Ale nie wszystko zależy od nas, tu, na miejscu. Sprawa reformy rolnej to sprawa w skali państwowej. Ale obiecujemy wam zająć się waszymi żądaniami natychmiast. Co do jednego możecie być pewni już teraz; nikomu włos z głowy nie spadnie. Z tą chwilą, gdyśmy się dogadali, oświadczam wam, że żadna pacyfikacja nie będzie mieć miejsca. O to możecie być całkowicie spokojni.

Komisarz Frank przysłuchiwał się słowom starosty przytakując skinięciem głowy. Poseł Moneta patrzał po delegatach chcąc sprawdzić, jakie wrażenie wywołują na nich słowa starosty.

Delegaci siedzieli skupieni, przemówieniu starosty przysłuchiwali się z uwagą, ale na twarzy ich nie malowało się żadne dające się ściśle określić wrażenie. Brożek, siedzący najbliżej biurka starosty, podparł dłonią głowę, był spokojny, lekko ściągnięte brwi dodawały twarzy jego surowości i uporu.

— Ale i wy — dodał starosta — wpłyńcie odpowiednio na ludzi. Porozumienie musi być obopólne. Niechaj chłopi zachowają spokój, niechaj rozejdą się do domów i do pracy.

— Czasy idą ciężkie — pospieszył z uwagą poseł Moneta — a my marnotrawimy siły, zamiast pracować, pracować i jeszcze raz pracować. Pracą tylko możemy dźwignąć nasz kraj, tylko pracą.

— Właśnie — przyświadczył komisarz Frank i skubnął nerwowo wąsa. Zegar na wieży ratuszowej wybił godzinę trzecią po południu. Słońce stojąc ukośnie na niebie wpadało teraz do pokoju starosty kładąc się gorącą plamą na podłodze.

Sprawa zaprzestania pacyfikacji była sprawą najważniejszą i delegacja uznała załatwienie jej za niewątpliwy sukces.

Starosta znowu podniósł się za biurkiem.

— Dziękuję panom — powiedział — dziękuję wam, panowie delegaci, że umożliwiliście nam rozmowy. Nie ma takich spraw, co do których nie można by w zasadzie powziąć jakiegoś rozsądnego postanowienia. Cieszę się, że jesteście komunistami, z którymi można konferować. Myśmy znali tylko komunistów, którzy rabują i zabijają. Wy jesteście inni. Pozwólcie, że odwiozę was moim samochodem na miejsce.

Starosta podawał kolejno rękę delegatom i ściskał je mocno po męsku. Za nim uczynił to komisarz Frank, potrząsając dłonie chłopów krótko i energicznie. Poseł Moneta za każdym uściśnięciem ręki patrzał delegatom w oczy roztapiając się w uśmiechu jak miód w słońcu.

Kurz poderwał się z rynku, auta pomknęły w wąskie uliczki. Nie dojechawszy do mostu, auto z komisarzem, starostą i posłem Monetą zawróciło nagle do miasta. Delegacji chłopskiej, która wysiadła na moście, ukazał się widok osobliwy i absolutnie niespodziewany. Na łące toczyła się bitwa między policją a chłopami. Na chwilę skamienieli. Nie wiedzieli, co czynić. Ale już w minutę później Brożek szarpnął się:

— Podstęp, psiakrew! A kanalie, a zbiry!

Rzucił się na most, by pospieszyć walczącym na pomoc. Pozostali ruszyli za nim. Ale straż, pilnująca mostu, zatrzymała ich.

— My od starosty — wołał Brożek — puśćcie nas! Wracamy do swoich! Zaprzestańcie walki!

Policja cofnęła ich siłą do tyłu.

— Mamy przyrzeczenie starosty, że nikomu włos z głowy nie spadnie.

— Ale my mamy rozkaz od komisarza!

Komendant oddziału skinął na podwładnych. Ci pobiegli otaczając delegatów zwartym kołem.

— Aresztować ich! — padł krótki rozkaz.

Za chwilę delegaci siedzieli zamknięci w samochodzie. Na łące toczyła się zażarta walka. Kosy migały w słońcu, słychać było krzyki, trzask, szum, w pewnej chwili zaterkotał na wieży kościelnej karabin maszynowy. Z łąki poderwał się śpiew, mocny i potężny:

Gdy naród do boju...

Nad łąką latały oszalałe stada wron. Gniazda na wierzchołkach osik, oblegane przez wzlatujące i osiadające ptactwo, chwiały się kołysane wiatrem jak małe, rzeczne czółenka. Krakanie płynęło nad walczącymi chłopami powiększając jeszcze grozę sytuacji.

Brożek wiedział już teraz, że przegrali, że podstęp wymierzony był celnie i skutecznie. Ale wiedział również, uświadomił to sobie głęboko, że nie tędy droga do zmiany sytuacji w Polsce. Zmiany dokonać można tylko przez nieustępliwą rewolucyjną walkę aż do zwycięskiego końca.

O to nowe doświadczenie stał się bogatszy on, jego towarzysze i miliony cierpiących i wyzyskiwanych.

Jan Koprowski

*) *Fragment opowiadania o strajkach chłopskich.*

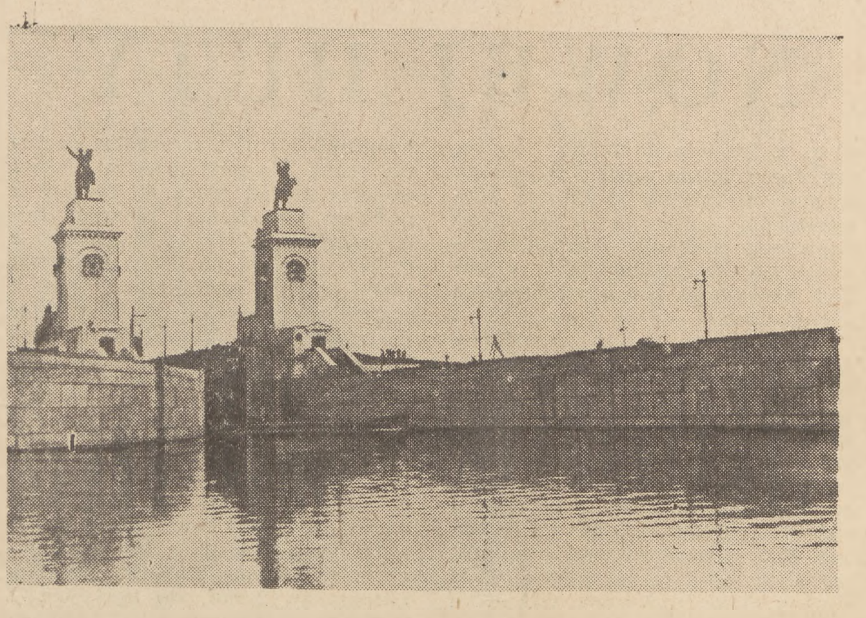
WŁODZIMIERZ ODOJEWSKI

ŚLADAMI POWSTAŃCÓW LESKICH

Wiem, że to będzie tak po prostu —
W kurzawie drogi, poza mostem,
samochód stanie w widłach rzek.
A, że dopiero wczesne rano,
słońce nad wsią we mgle przystanie
i chmury białe jakby śnieg.

Zaskrzypi żóraw koło studni
i na wybojach wóz zadudni,
budzić się będzie zwolna wieś.
A na mogiłach tuż nad Sanem,
sosny od wiatru kołysane —
jakby strop nieba chciały nieść.

Wybiegnie chłopiec z jakiejś chaty,
spojrzy na słońce. Tu przed laty,
twój ojciec broniąc ziemi padł.
Od drogi młody głos zawoła,
gwarem przywita dzieci szkoła:
aż dotąd dotarł ojca ślad.



WSIEWOŁOD IWANOW

CHWAŁA RADZIECKIEMU CZŁOWIEKOWI

WODA wołgo-dońska dotknęła korzeni pszenicy, której kłos na próżno błagał niebiosa o deszcz.

I wyschły kłos — szczęśliwy — wypełnił się ziarnem!

Oraczu chiński! I ty, co znosisz się w Indiach! Robotniku i chłopie wszystkich kontynentów! Każdy, kto w pocie czoła zbierasz swój chleb — spójrz na ten kłos w skwarnym stepie naddońskim!

Ten nabrzmiały kłos, to przejrzyste złoto, wypełnione wodą Wołgo-Donu, śpiewa o pokoju, o pokojowej pracy ludzi radzieckich, o ich szczęściu, ich natchnionej twórczości...

Kanał Wołżańsko-Doński stworzyły nie tylko tysiące ludzi pracujących w strefie jego budowy. Stworzył go cały naród radziecki.

Uczniak radziecki nie pytał, rzecz jasna, swego ojca, tokarza w fabryce, czy profesora w instytucie: „A cóżeś ty, ojcze, zrobił dla Wołgo-Donu?" Ojciec sam opowiadał o tym, co zrobił. A kiedy oczy syna, czy córki jaśniały dumną radością, ojciec w tym blasku znajdował nowe siły i nowe źródło natchnienia. Uczeń o swej radości opowiadał kolegom i radość szerzyła się ogarniając kraj cały.

Zakłady Moskwy, Leningradu, Uralu, Ukrainy z niezwykłą pieczołowitością i oddaniem wykonywały zamówienia Wołgo-Donu. Uczeni pracowali bez przerwy w laboratoriach. Wynalazcy tworzyli nowe maszyny. Robotnicy budowali je z niezwykłą szybkością. Każda już wykonana część maszyny była nie tylko „moją radością", czyli radością tego, kto ją stworzył, ale i „naszą radością", czyli radością całego radzieckiego narodu.

*

...Przypominam sobie pewne spotkanie.

Dął wicher. Morze rozfalowało się. Na górnym pokładzie olbrzymiego motorowca „Rosja", kursującego między Odessą i Batumem, wisiały całe rzędy niedawno pomalowanych biało-czerwonych kół ratunkowych. Kiedy marynarz przebiegał zręcznie między rzędami, koła miotały się, jakby chcąc go pochwycić i swawolnie naznaczyć świeżą farbą. Widać było, że morze jest wzburzone.

Poniżej, na jednym z licznych pokładów tłoczyli się przy barierze pasażerowie, patrząc na kąpiących się w basenie pływackim. Statek zbliżał się już do Odessy, wielu pasażerów płynęło z Suchumi i Soczi — zdążyli przywyknąć do tego, że kołysania prawie się nie odczuwa — wszyscy mówią o tym, co każdy chciałby zobaczyć na brzegu.

Dwóch młodych ludzi i dziewczyna o długich warkoczach i w okularach, spoza których jej oczy, i tak ogromne, wydają się jeszcze większe, rozmawia z niemłodym mężczyzną w płóciennym ubraniu i południowym słomkowym kapeluszu o szerokim rondzie.

Mężczyzna patrzy na młodzież z niezadowoleniem.

— No, tak... Więc przerwaliście urlop dla zobaczenia Kanału? — zapytuje z ponurą twarzą.

Dziewczyna broni się:

— Jak mogliśmy zrobić inaczej? Urlopu nam nie przedłużą...

— Oczywiście, każdy chce zobaczyć Kanał. To w porządku. Ale was trudno pochwalić. Jak odpoczynek, to odpoczynek! Nie należy wyjeżdżać przed końcem.

— O, przepraszam! — przerywa mu dziewczyna. — Nie macie racji! My wszyscy troje robiliśmy reflektory dla latarni morskich na Kanale i...

— ...i w nagrodę za dobrą pracę dostaliście skierowanie do domu wypoczynkowego? Domyślam się tego — mówił niemłody mężczyzna. — I wyjeżdżacie przed końcem wypoczynku. Czy to w porządku, co?...

— Nie rozumiecie nas — mówi dziewczyna. — Siedzieliśmy w nocy nad morzem. I nagle wyobrażaliśmy sobie Kanał w porze nocy. Noc! Nie widać ani olicowania, ani w ogóle brzegów. Kanałem płynie parowiec. Nikt nie widzi co ludzie zrobili, jakiego dokonali dzieła nieprawdopodobnie pięknego... I nagle na latarni zapala się reflektor i rozświetla całą czarodziejską drogę okrętu. A ten reflektor, to właśnie myśmy zrobili... Oni dwaj, i ja, i jeszcze inni robotnicy i inżynierowie... Więc jak mogliśmy nie przerywać urlopu i nie pojechać na Kanał? No, i jedziemy...

— Tak... A swoją drogą, to nie w porządku — upiera się przy swoim tamten.

Zamilkli. W chwilę potem dziewczyna, jakby pod wpływem nagłego skojarzenia, zaczyna życzliwie wypytywać mężczyznę:

— A skąd wy właściwie jedziecie?

— Ja? Z Leningradu.

— A dokąd?

— Jak to dokąd? Na Kanał.

— Po co?

— Zobaczyć moją robotę. Pracowałem przy wykonaniu niektórych agregatów dla stacyj pomp. Mówią, że agregaty okazały się doskonałe. No, bo i jak mogłoby być inaczej? Wytwarzamy nie tylko maszyny, ale wpływamy na umysły ludzi. Świat potrzebuje naszej pracy, wzbogacamy jego umysł i serce.

— Jeśli o to idzie, macie rację!

— Pewnie, że mam!... No, oczywiście, myślę też i o swoich osobistych, ludzkich sprawach: wnuczek mi rośnie, ale za wcześnie mu jeszcze jechać na Kanał; więc dziadek musi wnukowi o nim opowiedzieć.

— Tylko dlaczego wybraliście sobie taką okrężną drogę?

— Jakto okrężną? Przecież ja prosto jadę...

— Z Leningradu przez Jałtę? Widziałam gdzieście wsiadali...

— A tak, byłem w Jałcie na odpoczynku — mówi starszy mężczyzna.

— Aha! Jak długo?

— Osiemnaście dni.

— To jakiś krótki urlop?

— Tak, bo ja urlop... — starszy człowiek połapał się i milknie.

Dziewczyna przygląda mu się uważnie.

— Przepraszam was — mówi z udanym oburzeniem — ale z tego wynika, że przerwaliście urlop? I to bodaj wcześniej niż my! A nam dajecie pouczenie!

— Rzeczywiście daję pouczenia... — mruczy tamten pod nosem. — Ale nie tylko wam, ile sobie. To prawda...

Uśmiecha się z zakłopotaniem. Dziewczyna patrzy na niego i również się śmieje. Śmieją się i dwaj chłopcy.

*

...Kanał Panamski w Ameryce budowano z górą trzydzieści lat. Nie mówiąc już o tym, że jego długość jest znacznie mniejsza od Wołgo-Donu. Kanał Panamski nic nie nawadnia i nie jest źródłem energii elektrycznej — jedynie przepuszcza statki. A Kanał Wołgo-Doński jest i transportowym — czyli przepuszcza statki — i nawadniającym, i stanowi źródło energii elektrycznej i, razem z olbrzymimi zbiornikami wody oraz niezmiernie skomplikowanym wyposażeniem technicznym, został stworzony w niecałe cztery lata.

Ten niesłychanie krótki termin realizacji gigantycznej budowy mówi o wzroście potęgi techniki radzieckiej, o entuzjazmie ludzi radzieckich, o ścisłym związku naszej nauki z wytwórczością. Budowa Kanału Wołgo-Dońskiego — to rozwiązanie wielkiego zadania naszej gospodarki narodowej.

Zadanie, rozwiązane na przestrzeniach stepowych między Wołgą i Donem, zostało ponadto rozwiązane w sercach ludzi, którzy Kanał stworzyli. Dla wielu z nich było to więcej niż uniwersytet.

Budowniczowie przestudiowali i przeczytali tysiące dzieł. Były wśród nich i książki techniczne, i wiersze, i powieści klasyków światowych i radzieckich, i książki o sztuce, i dzieła Lenina i Stalina — księgi uczące żyć i walczyć o wielkie cele.

Powstanie również księga — epopea o samym Kanale, o jego ludziach, o ich bohaterskiej pracy.

Myślę, że jej ukazanie się nie jest sprawą daleką. Rękojmią jej powstania jest zachwyt całego narodu radzieckiego dla zdumiewającego bohaterstwa pracy jego synów. I pierwsze pieśni tego poematu pisze już może w tej chwili wielki poeta, którego imię nie jest nam jeszcze znane, ale w którego sercu palą się słowa płomienne, zrodzone z czynu radzieckiego człowieka i szukają ujścia.

Wielki jest człowiek radziecki i wielkie jest dzieło, jakiego dokonał i dokonywa. Dni jego są na miarę olbrzyma, są piękne i radosne: CHWAŁA MU!

Wsiewołod Iwanow

TADEUSZ LISIECKI

ARMIA — WSPÓŁTWÓRCA NARODU

LATO 1927. Na niezmierzonych obszarach Chin rozszalała się kontrrewolucja. Nie tylko reakcja feudalna, ale i liberalna burżuazja, dotąd idąca we wspólnym froncie z robotnikiem i chłopem przeciw panowaniu obcego kapitału, przeszła teraz na pozycje wroga. Czang Kai-szek organizuje w Kantonie rząd reakcyjny; ze zdradą średniej i drobnej burżuazji rozpętał się biały terror, partia komunistyczna znalazła się w podziemiu.

Oceniając historię Chin Józef Stalin powiedział 1 sierpnia 1927 r.: „Należy przypuszczać, że także i drugi etap rewolucji nie zdoła całkowicie rozwiązać zadania wygnania imperialistów. Wzburzy jeszcze bardziej szerokie masy chińskich robotników i chłopów przeciw imperializmowi, ale uczyni to po to, aby przekazać dokończenie dzieła następnemu etapowi rewolucji chińskiej, etapowi radzieckiemu". I dalej: „trzeci etap — rewolucja radziecka, której jeszcze nie ma, ale która nastąpi".

Tego samego dnia, 1 sierpnia 1927 r., wybuchło w Nanczangu powstanie dwóch korpusów armii w sile 20.000 ludzi. Na ich czele stanął Czu Teh. Powstańcy ruszyli na południe, do prowincji Kwantung — „kolebki rewolucji". Data tego powstania powszechnie jest uważana za datę narodzin zwycięskiej Chińskiej Ludowej Armii Wyzwoleńczej. W tym roku obchodzono ją szczególnie uroczyście — była to 25-ta rocznica.

Dzieje tej armii to bez mała dzieje rewolucji. Kilka dni zaledwie dzieliło powstanie Czu Teha od niemniej słynnego powstania chłopskiego, jakie wybuchło w centralnej prowincji Hunan pod wodzą młodego poety i kierownika partii komunistycznej — Mao Tse-tunga. Akcja ta przeszła do historii pod nazwą „Powstania jesiennego urodzaju". Jego ośrodkiem stała się „pierwsza dywizja armii robotniczo-chłopskiej". Zima tego samego roku była świadkiem jeszcze jednego historycznego wydarzenia:



wśród wyżyn górskich Tsing Nanszań nastąpiło spotkanie i połączenie oddziałów Mao Tse-tunga i Czu Teh, ostateczne uformowanie zawiązka zbrojnego ramienia rewolucji.



Epopea Armii Wyzwoleńczej biegła odtąd podwójnym, a jednak znakomicie dopełniającym się, jednolitym torem: wojennym — wspaniałych zwycięstw i bezprzykładnego bohaterstwa, oraz politycznym — rewolucyjnego kształtowania narodu. Do najgłośniejszych epizodów — a każdy epizod jest na miarę eposu — należy słynny „Marsz na Północ", czyli „Marsz 25.000 li", kiedy to armia ludowa przebyła w bezustannych bitwach ponad 13.000 kilometrów, wszędzie po drodze rewolucjonizując ludność. Stoczono wówczas ponad 100 ciężkich bitew, sforsowano 24 wielkie rzeki i 18 łańcuchów górskich, z czego 5 powyżej linii wiecznego śniegu. Rosła legenda. „Szaleńcy, bogowie, czy ludzie?" — pytali chłopi. Stwierdzenie zaś człowieczeństwa bohaterów napawało ludność jeszcze większym podziwem.

A później przyszły wielkie kampanie wyzwoleńcze. Armia rewolucyjna wkracza do Mukdenu, Pekinu, Nankinu, Szanghaju, Kantonu, uwalnia cały obszar Chin kontynentalnych, przyłącza z powrotem Tybet. A wszędzie, gdziekolwiek przychodzi, bierze udział w tworzeniu nowej, ludowej administracji, bierze udział w uświadamianiu i wychowywaniu ludności. Dziś stoi na straży bezpieczeństwa kraju półtora raza większego obszarem od Stanów Zjednoczonych i blisko czterykroć ludniejszego; kraju, gdzie dzięki jej bohaterstwu i ofierze krwi znikł na zawsze wyzysk człowieka. „Wszystko dla ludu, nic dla siebie" — oto naczelne hasło wychowawcze i główne źródło potęgi moralnej tej armii prawdziwie ludowej, prawdziwie demokratycznej. — Armii — współtwórcy narodu

Tadeusz Lisiecki

GREGORIO LOPEZ RAYMUNDO

List z więzienia

BURŻUAZYJNA prasa Zachodu systematycznie i przy każdej okazji powtarza teorię, że obalenie dyktatury Franco jest niewykonalne własnymi siłami narodu hiszpańskiego i wymagałoby interwencji z zewnątrz. Tymczasem raz po raz powtarzają się fakty, świadczące, że Franco zawdzięcza swoje istnienie tylko nieustającej pomocy amerykańskiej bez której nie przetrwałby nawet tygodnia. Wczesną wiosną 1951 przez całą Hiszpanię przewaliła się fala strajków i demonstracji. Szeregiem ustępstw i pośpiesznie udzieloną pożyczką dolarową dyktator ocalił swój chwiejący się tron. Strajk powszechny rozpoczął się w Barcelonie, tam też dokonano największych aresztowań. Gdy parę tygodni temu rozpoczął się pierwszy wielki proces—imię „Dwudziestu Siedmiu", a zwłaszcza ich przywódcy znalazło się na ustach opinii całego świata. I znów wstrząsnął krajem głos oburzenia robotników hiszpańskich Falangistowski sąd uląkł się: wyrok — pozornie łagodny — opiewał na 4 lata więzienia. Faszyści liczą, że 4 lata to dosyć, aby złamać, lub zabić człowieka.

Ze swej celi więziennej przywódca „Dwudziestu Siedmiu" — Gregorio Lopez Raymundo, zdołał wysłać list do wielkiej rewolucjonistki hiszpańskiej Dolores Ibarruri — La Passionarii. List ten jest wyznaniem wiary całego walczącego narodu.

Droga Dolores!

Korzystam z pierwszej nadarzającej się sposobności, aby Ci przesłać tych kilka słów oraz przekazać gorące pozdrowienia moje i mych dwudziestu sześciu towarzyszy więziennych.

Otaczają nas kraty i głuche mury. Ale przez mury i kraty czujemy poparcie i pomoc ludu pracującego Katalonii i całej Hiszpanii. Dochodzi nas odgłos wielkiej bitwy o naszą wolność — bitwy, która się toczy i wrze także i poza granicami hiszpańskiej ziemi. Niełatwo opisać, z jakim wzruszeniem chłoniemy te wyrazy solidarności. Umacniają nas one w naszej wierze w bliski kres frankistowskiego reżimu, w tryumf demokracji.

Choć z zewnątrz skąpe tylko docierają do nas wiadomości — trzymają nas w najściślejszym odosobnieniu — jest dla nas rzeczą jasną, że to wszystko, co czyni się, aby nas uratować, świadczy przede wszystkim o głębi nienawiści narodu hiszpańskiego dla dyktatury Franco i potężnym odgłosie, jaki budzi walka hiszpańskiego narodu wśród najlepszych synów wszystkich krajów świata. Stąd prawdziwym natchnieniem są nam wyrazy miłości i przyjaźni, tak mało właściwie zasłużone. I dlatego postanowiliśmy Cię prosić o oświadczenie w naszym imieniu towarzyszom i przyjaciołom w Hiszpanii i poza Hiszpanią:

Naprzód! Ruch w obronie „Dwudziestu Siedmiu z Barcelony" (tak nazywa nas lud hiszpański) jeszcze bardziej podważa reżim frankistowski i przybliża dzień wyzwolenia Hiszpanii.

Nasza grupa składa się z robotników, w większości swej aktywistów Zjednoczonej Socjalistycznej Partii Katalonii. Nasza jedyna „zbrodnia" polega na tym, że wypełniliśmy nasz obowiązek — komunistów, proletariuszy i demokratów. Braliśmy udział zdecydowany w walce, jaką toczy klasa robotnicza i naród hiszpański o obalenie jarzma frankistów.

Ujęto i wtrącono nas do więzienia tylko za to, że w najtrudniejszych warunkach, wegnani przez faszyzm w podziemia, broniliśmy interesów ludu Katalonii i całej Hiszpanii, walczyliśmy o chleb, o pokój, o demokrację...

Towarzyszko Dolores! Od wielu lat terrorystyczny aparat Franco w Katalonii z niezwykłą zajadłością prześladuje komunistów, gdyż nasza partia jest natchnieniem i mózgiem Ruchu Oporu.

Nasze aresztowanie wywołało przypływ radości wśród władz faszystowskich. Wiedzą bowiem o kierowniczej roli partii w strajkach, jakie odbyły się w lutym, marcu, kwietniu i maju w Barcelonie, w Manrez, w Mataro i innych miastach Katalonii. Teraz postanowiono rozprawić się z nami — przy pomocy terroru chcą sparaliżować walkę ludowych mas, chcą zdławić coraz żywsze uczucia i sympatie wśród ludzi pracy i innych warstw ludności dla idei i polityki, których wcieleniem jest Komunistyczna Partia Hiszpanii i Zjednoczona Socjalistyczna Partia Katalonii.

Nawet zamknięci w policyjnych kazamatach mamy pełną świadomość, że nadzieje frankistów skazane są na klęskę, niezależnie od tego jaki los nam gotują.

Towarzyszko Dolores!.. Jesteśmy przekonani do głębi o przewadze sił, które bronią pokoju w Hiszpanii i na całej ziemi przed zakusami podżegaczy wojennych. Jesteśmy pewni, że nigdy nasz naród nie zgodzi się walczyć przeciwko Związkowi Rad — nieugiętemu bojownikowi o pokój, wolność i niepodległość wszystkich narodów.

Wierzymy głęboko, że broniąc pokoju, organizując jednolity front przeciw polityce wojny prowadzonej przez Franco i milionerów amerykańskich, że opierając się o nieprzebrane siły obozu antyimperialistycznego, któremu przewodzi ZSRR, patrioci hiszpańscy uchronią nasz kraj od katastrofy, w jaką chcą wciągnąć go falangiści.

Wywalczymy życie wolne i demokratyczne — naród ma wszystkie po temu prawa!

Towarzyszko Dolores! W więzieniach, przez które wiodła nasza droga, rozmawialiśmy z innymi więźniami antyfrankistami. I upewniliśmy się, że polityka jedności narodowej w walce o pokój i ocalenie Hiszpanii, polityka, do której Ty nawołujesz, spotyka się z powszechnym uznaniem u wszystkich, ktokolwiek szczerze walczy przeciwko Franco. Gorącym poparciem cieszy się głoszona przez naszą partię idea utworzenia szerokiego narodowego frontu demokratycznego i republikańskiego, który obudzi, skupi wokół siebie i pokieruje przeciw reżimowi Franco olbrzymie siły i zasoby energii, kryjące się w łonie mas ludowych Hiszpanii. Uwięzieni antyfrankiści widzą w narodowym froncie republikańskim i demokratycznym najpewniejszą rękojmię swego szybkiego wyzwolenia. I potępiają surowo tych przywódców obozu republikańskiego, którzy stwarzają przeszkody w urzeczywistnieniu takiego frontu.

Towarzyszko Dolores, jeszcze raz zwracam się z prośbą do Ciebie w imieniu moich przyjaciół o przekazanie najgłębszych podziękowań tym wszystkim którzy w ten, czy inny sposób wyrazili nam swoją życzliwość.

Ze szczególnym uznaniem zwracamy się do narodu radzieckiego i wielkiego Stalina; ludzie radzieccy, bez zastrzeżeń stając po naszej stronie, wykazali raz jeszcze, że są najwierniejszymi i najbardziej oddanymi przyjaciółmi hiszpańskiego narodu.

Muszę już kończyć.

W pierwszych dniach mego zamknięcia, policjanci Franco, nie szczędząc mi razów, aby mi wydrzeć choćby jedno słowo, któreby ułatwiło im nikczemne prześladowanie naszej Zjednoczonej Socjalistycznej Partii, nazwali mnie „synem Passionarii".

Słowami tymi chcieli mnie dotknąć... Ja zaś doznałem uczucia najwyższej dumy, która pomogła mi w wytrzymaniu tortur.

Możesz być pewną, towarzyszko Dolores, że aby stać się godnym nazwy Twego syna, nie ustanę w walce aż do ostatniego tchnienia.

Gregorio Lopez Raymundo

OLGA BERGHOLZ

POCHWAŁA WOŁGO-DONU

Rzeko nowa, rzeko narodowa,
Dumna rzeko rosyjska, Wołgo-Donie,
Wszystkie rzeki radzieckie pełne wód,
Dziś się chylą przed tobą w niskim pokłonie.

Od mórz pięciu, chłodnych mórz głębinnych
I od mórz południowych, z czterech stron
Połączonych przez Wołgo-Don
Pokłon, pokłon w twoje narodziny.

Młodszym braciom twoim, morzom-Wołgodońcom,
I kolebce ich — stepowej dali
Od świtania do zachodu słońca
Mórz pięcioro pokłon bije falą.

Wam, na stromych brzegach rosnącym,
Młode drzewa, jesiony i klony,
Od rosyjskich prastarych, szumiących
Borów-lasów — najniższe pokłony.

Wam, piętnastu śluzom, pięknym nad podziw,
Krasawicom — wodnym zaporom
Budowniczy Związku Rad, starzy i młodzi,
Pokłon biją z dumą i pokorą.

Wam, turbiny Wołchowa wspaniałe,
Dniepr szeroki, kanał Wołga-Moskwa
Dziś wydały uroczysty rozkaz
Byście dziesięć stuleci przetrwały.

A im, nową przyrodę tworzącym,
Budowniczym twoim, Wołgo-Donie,
Za ich czyn — cały lud pracujący
Dziś się chyli w najniższym pokłonie.

Tocz swe wody, rzeko, wiecznie wezbrane
Okrętami pięciu mórz dalekich
I Lenina imię ukochane
Swoją pracą sław po wszystkie wieki,

Żyj, ożywiaj bezpłodne dale
Niech zielenią się młodą dąbrową
Nienapróżno stoi towarzysz Stalin
U twych brzegów z obnażoną głową.

Rośnij, młoda, zielona runi,
Stań się, stepie, doliną żyzną,
Nowa rzeko, razem z naszą Ojczyzną
W samo szczęście wpłyń dziś — w komunizm.

Chwała dziełu rąk twych, Wołgodończe,
Wzrok na ciebie zwraca ziemia cała!
Chwała Stalinowi, chwała słońcu,
Pokojowi, życiu, pracy — chwała!

Przekład **Ireny Tuwim**

JAN DANECKI

Z BYSTREJ DO NOWEJ HUTY

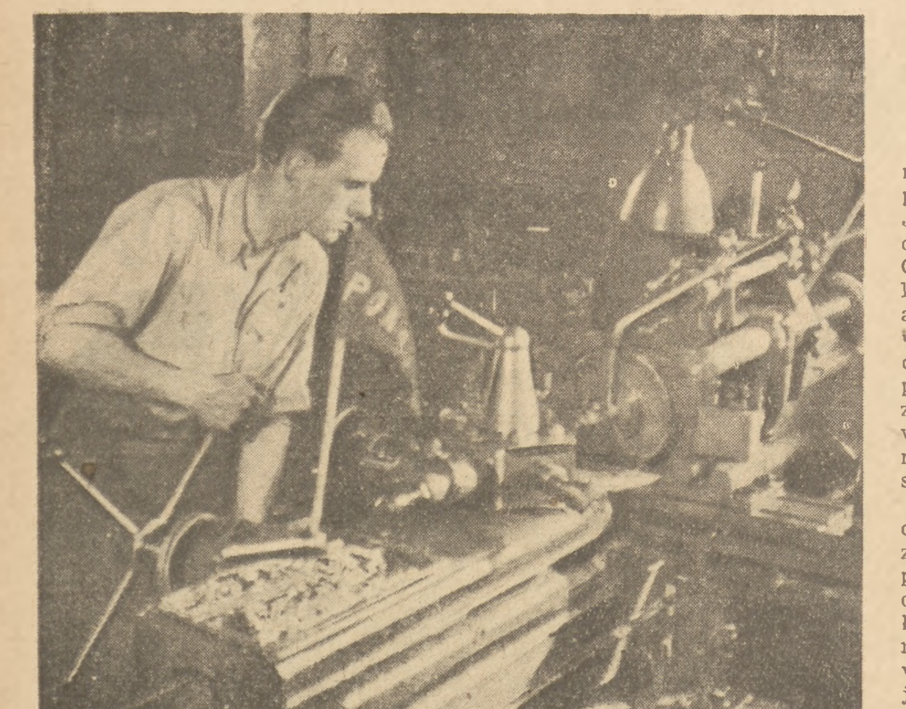


Foto — C. Świrta

ZESTAWMY ze sobą następujące fakty:

W woj. krakowskim, jak wykazuje Narodowy Spis Powszechny, jest 200 tys. gospodarstw o powierzchni poniżej 2 ha, w przeważającej większości bezkonnych — z tego jeszcze nieliczny odsetek dorabia w przemyśle.

A równocześnie Nowa Huta, największa inwestycja Planu 6-letniego, odczuwa poważne trudności w wykonaniu planu zatrudnienia. Na VII Plenum sekretarz KW w Krakowie zażądał pomocy dla Nowej Huty, żądając dopływu ludzi z innych województw, tak jakby w woj. krakowskim wszelkie możliwości rekrutacji zostały już wyczerpane.

Gdzie leży źródło tej pozornej sprzeczności? I jakie są środki jej rozwiązania? By na pytania te odpowiedzieć, trzeba — obok zbadania warunków pracy w samym przemyśle — sięgnąć konkretnie do gospodarczej i politycznej sytuacji rejonów, które stanowią główną bazę sił ludzkich dla Nowej Huty.

Spróbujmy pod tym kątem widzenia pokazać jedną z gmin wiejskich Podhala — Bystrą.

*

O Bystrej wiemy sporo z korespondencji Ludwika Maja, małorolnego chłopa i działacza; o jej przeszłości, teraźniejszości i przyszłości.

Cofnijmy się najpierw w przeszłość — wyjaśni nam ona w dużej mierze aktualną problematykę Bystrej.

Jak daleko wstecz potrafi nasz kronikarz sięgnąć — Bystra była zawsze niewyczerpanym rezerwuarem najtańszych sił roboczych — gotowych do każdej pracy.

Bo i policzcie tylko:

Gmina Bystra obejmuje obszar 13.194 ha, z tego pod pługiem 5.338 ha lichej podgórskiej ziemi. Gnieździło się na niej przeszło 10.000 mieszkańców — dwoje ludzi na 1 ha użytków rolnych! A jeśli uwzględnić około 10 proc. gospodarstw „kmiecych", liczących powyżej 10 ha ziemi ornej — cóż pozostawało dla 90 proc. biedoty?

Oto cyfry, które wołają: wyjść, koniecznie wyjść z Bystrej za pracą i za chlebem! Ale dokąd można było wyjść w kapitalistycznej Polsce? Wszak Krakowskie to jeden z najmniej uprzemysłowionych rejonów Polski: parę kopalni węgla, sól w Wieliczce i Bochni, kilkanaście niewielkich zakładów przemysłowych — i wszystko. Toteż jeszcze za Franca Józefa zamknięto tu szereg cukrowni i ostatnią hutę żelaza, a właściciele wielkich karteli, obszarnicy i politykierzy kułacy ciągnęli dalej tę politykę za „niepodległej" Polski.

Wychodzili więc z Bystrej tylko co odważniejsi — jak Jan Wala, co 15 lat mordował się gdzieś na Węgrzech, aby ratować rodzinę od śmierci głodowej. Szli też na ciężki zarobek do Łotwy, do Niemiec, kilku wywędrowało szukać szczęścia za ocean. Dla tych, co nie chcieli iść na obczyznę, przyszłość była wyraźnie określona, czego wynikiem — przeludnienie, karlenie i tak już sproletaryzowanych gospodarstw. W samej tylko Sidzinie, rodzinnej wsi Maja, w przeciągu dziesięciolecia do 410 gospodarstw przybyło z podziału jeszcze 314 nowych — na 2.600 ha ziemi! I cóż to były za gospodarstwa! Przeludnione, pocięte na kawałeczki, obciążone podatkami i wyśrubowanymi przez kartele cenami na artykuły przemysłowe. Stąd też i prymityw gospodarki niemal że naturalnej.

Ale był jeden towar, którym rozporządzało do woli biedniackie Podhale: siła robocza. Tę kupowali za bezcen, poniewierali, niszczyli miejscowi bogacze-gazdowie.

Otóż i macie — jak na dłoni — mechanizm działania kapitalizmu. Zamykając przed biednym chłopstwem Podhala drogę odpływu do miasta, spychając je coraz silniej na pozycje gospodarki naturalnej, rozkładający się kapitalizm rozrywał jedną po drugiej więzi jakie łączyły je z miastem i oddawał na pastwę swemu partnerowi — kułactwu.

*

Rok 1949 strzaskał sztuczną barierę, która odgradzała Podhale od kraju. Parcelacja obszarniczych majątków, osadnictwo na Ziemiach Zachodnich, odbudowa przejętego przez naród przemysłu — idące na cały kraj wołanie o twarde, ofiarne ręce — otwierały góralom perspektywę niezależnego bytu.

A tymczasem na Ziemie Zachodnie pojechało w pierwszych latach 100 rodzin, tyle samo mniej więcej poszło i do przemysłu. Potem tempo odpływu zaczęło słabnąć.

— Dlaczego?

Pozostała wprawdzie jeszcze w Bystrej biedota, ale znikł raz na zawsze najsilniejszy bodziec do wychodzenia ze wsi: powolne umieranie z głodu. Górale wrośli w swą lichą ziemię niby kosodrzewina: ani jej nie przesadzisz, ani na miejscu bujniej ci nie wyrośnie.

Toteż szerszym nurtem — do szkół i do przemysłu popłynęła jedynie młodzież — i ona to wniosła do Bystrej zaczyn dalszej przemiany.

„Młodzież ta — opowiada Maj — zaczęła pierwsza targać zacofanie i wrogą propagandę na podstawie konkretnych dowodów — lepszych warunków życiowych. Przyjeżdżali młodzi do wiosek rodzinnych, opowiadali o wielkich budowlach, o solidarnym wysiłku klasy robotniczej. Ich przyjazdy każdorazowo odrywały z zasiedzenia niezdecydowanych, a ci ostatni po zżyciu się z nowym środowiskiem znów ciągnęli innych.

Pasternaki, Czarni, Smętni, Kostki, Ptaśnie, Ujczaki, Rysie i inni ukształtowali nowy kierunek odpływu ze wsi. Niejeden z nich jest dzisiaj przodownikiem budownictwa. Oni to pobudzili Bystrą do dyskusji, słowo „socjalizm" zaczęło być powtarzane z twardą powagą".

Ten proces narastających przemian wzmocniło i przyśpieszyło oddziaływanie budującej się Nowej Huty. Nie tyle, by budowa przyciągnęła krocie ludności z Bystrej, lecz ludzie ci już nie listownie tylko i nie przy okazji rzadkich bardzo przyjazdów, ale bieżąco, co tydzień, przynosili świeże wieści o wielkiej budowie, rozpętywali dyskusje, wnosili do Bystrej elementy świadomości proletariackiej. Nowa Huta otwierała perspektywę wielkiej przemiany, dodając otuchy i bodźca do walki o oczyszczenie gruntu pod nowe, decydujące zmiany.

Ten bój przygotowawczy stoczył się w Bystrej w r. 1951. W gorącej atmosferze Plebiscytu Pokoju, Narodowej Pożyczki i bitwy o zboże zaktywizowała się i ubojowiła biedota, wylecieli z trzaskiem z Rady, spółdzielczości, szeregów partyjnych i ZSL-u zamaskowani mikołajczykowcy: Rączka, Pasternak, Koper, Maciaszek, Buda i inni.

Wzmocniła się i okrzepła partia, pod jej kierownictwem uformował się nowy, szeroki biedniacki aktyw, który rozpoczął myśleć o drogach dźwignięcia Bystrej — już nie w oderwaniu, a w ścisłym związku z przemysłem socjalistycznym.

I oto w roku 1952 — w roku przełomu — dojrzała w świadomości tego aktywu koncepcja gruntownej przebudowy Bystrej.

*

Plan przebudowy Bystrej, ma na celu przede wszystkim upłynnienie pozostałej rezerwy rąk ludzkich. Obliczają ją w Bystrej jeszcze na 1/3 ludności. Czy Nowa Huta, czy Ziemie Odzyskane — i tu i tam perspektywa marszu naprzód i dostatniego życia. A ci, którzy pozostaną na miejscu?

Oni dopiero teraz będą mogli rozprostować swe kości i przystąpić do planowej przebudowy rolnictwa. Jakimi drogami? Przede wszystkim przez rozbudowę bazy paszowej. Na Podhalu zboże rodzi się lichо: żyto sypie najwyżej 8 q z ha, owies niewiele więcej. Gospodarka zbożowa zatem nieopłacalna — o [illegible] stanowi hodowla. Jak dotychczas — rozwinięta słabo — na 1 ha wypada 48 sztuk bydła — niewiele więcej niż niski wskaźnik ogólnokrajowy. Ale, według obliczeń Maja stan bydła da się podnieść trzykrotnie, a owiec nawet i pięciokrotnie, jeżeli wykorzystać wszystkie istniejące rezerwy paszowe. Gdzież tkwią te rezerwy? I w zmianie płodozmianu — zamiast żyta można siać len, mieszając go z koniczyną, co robi z powodzeniem coraz więcej mieszkańców Bystrej, i w racjonalnym wykorzystaniu hal, zagospodarowaniu poważnej ilości pastwisk które dotąd „uprawiała" jedynie przyroda. To są tereny wspólne, gromadzkie — trzeba je też wspólnym wysiłkiem zagospodarować — i oto macie grunt dla zespołowej pracy, punkt wyjściowy ku spółdzielczości produkcyjnej.

Bo też o spółdzielnię woła już sama struktura miejscowego rolnictwa. W Bystrej grunty orne dzielą się na 50.000 pól i paroarowych poletek, a z nimi 50.000 miedz i bruzd. Przeciętne gospodarstwo składa się z 28 kawałków a są i takie, które mają po 80 rozrzuconych nieraz po parę kilometrów jeden od drugiego. Jakże przy takiej strukturze prowadzić gospodarkę zdrową i opłacalną? Coraz też więcej gospodarzy kalkuluje—a wynik wychodzi wciąż jeden; aby zwiększyć wydajność rolnictwa i zaoszczędzić przy tym nakładu pracy — trzeba zjednoczyć wszystkie poletka pod maszynową uprawę, zmniejszyć ilość dojazdów, stosować wielopolowy płodozmian, nastawiony na wielką i wyspecjalizowaną gospodarkę hodowlaną.

Te cztery sprawy: akcja osiedleńcza, odpływ do przemysłu, zespołowe zagospodarowanie pastwisk i — w perspektywie — spółdzielczość produkcyjna splotły się razem i zespoliły w jeden plan zwarty i nierozdzielny. Plan długofalowy, niełatwy do wykonania — ale czyż to umniejsza jego doniosłą rolę mobilizacyjną i cały zawarty w nim ładunek rewolucyjny?

Jest w tym planie zawarty nowy głęboki patriotyzm regionu, nowe, rzec by się chciało państwowe spojrzenie na losy Podhala: Podhale buduje się i umacnia, wzmacniając socjalistyczną Polskę.

Czyż nie pracuje dla swego Podhala góral-osadnik na Ziemiach Zachodnich likwidując odłogi i walcząc o wysokie plony z hektara? Wszak nawet w ostatnim skupie podhalański powiat Myślenice odsprzedał 1.300 ton zboża a już do końca I kwartału br. wchłonął z powrotem 4.300 ton przetworów mącznych i zboża!

Czyż nie kształtują się losy Podhala na rusztowaniach Nowej Huty — tej gigantycznej fabryki stali — podstawy produkcji traktorów i maszyn, bez których niemożliwy jest dalszy rozwój wsi podkarpackiej?

Koncepcja planu zakłada: nowoczesne, wyspecjalizowane w hodowli rolnictwo Podhala może się ostać jedynie w jak najściślejszym związku z przemysłem socjalistycznym jako źródłem środków wytwórczych i rynkiem zbytu produktów hodowlanych oraz ze zbożowymi obszarami kraju. To zaś zobowiązuje do wsparcia zarówno przemysłu (werbunek do Nowej Huty), jak i rolnictwa (akcja osiedleńcza). Zarazem dopiero ten odpływ stanowi niezbędną przesłankę, która otwiera od wewnątrz możliwości dźwignięcia rolnictwa: usuwając raz na zawsze zagrożenie dalszego podziału gospodarstw, przekształcając starą karłowatą strukturę podhalańskiego rolnictwa, pozwalając na zastosowanie nowoczesnej techniki — może dopiero uczynić je wysokotowarowym i opłacalnym.

Oto jest twórczy — konkretny i terenowy — plan umocnienia spójni — perspektywa, jaką dało Podhalu socjalistyczne uprzemysłowienie kraju.

*

Zatrzymajmy się jeszcze na tej części planu, która ma bezpośrednie znaczenie dla rozwiązania problemu kadr dla Nowej Huty.

Czym się różni plan Bystrej od wielu innych znanych nam planów rekrutacji kadr do przemysłu?

Tym przede wszystkim, że sprawa werbunku wypływa tu z pełnego poznania całokształtu warunków życiowych gminy, że stanowi ona jedno ogniwo w nierozdzielnym łańcuchu przemian, mających dźwignąć Bystrą do socjalizmu. W rozumieniu mieszkańców Bystrej odpływ do Nowej Huty (podobnie jak na Ziemie Zachodnie), jest niezbędnym warunkiem przebudowy miejscowego rolnictwa, zarazem zaś jest ściśle od pracy nad tą przebudową uzależniony.



Foto — C. Świrta

Całe dotychczasowe doświadczenie Bystrej wskazuje: głównym źródłem trudności werbunku do przemysłu jest przywiązanie chłopa-górala do własnego skraweczka ziemi. I jak długo będzie istniało to przywiązanie, jak długo będzie tkwiło korzeniami w nieprzemienionej strukturze podhalańskiego rolnictwa — tak długo odpływ do przemysłu nie będzie odbywał się bez zahamowań i głębokich konfliktów, bez przełamywania sprzeczności.

Jest w Bystrej sporo gospodarzy, którzy pracują już w Nowej Hucie, lecz z gospodarstwa jeszcze nie rezygnują, pozostawiając je pod opiekę żony. Odeszli do przemysłu? Tak, ale... w połowie tylko. Bo przecież nierzadko się zdarza, że gdy w sobotę przyjedzie do domu taki chłop i robotnik zarazem, to powraca do Nowej Huty dopiero we wtorek czy środę. Tych ludzi trzyma jeszcze, więzi własny skraweczek ziemi. Oni tkwią w dwóch systemach gospodarczych: z jednej strony już w socjalistycznym przemyśle, z drugiej — jeszcze w indywidualnym gospodarstwie chłopskim. Na tym gruncie rozgrywa się konflikt który hamuje w dużym stopniu rozwój zarówno przemysłu, jak i samego rolnictwa.

Nowy socjalistyczny przemysł wymaga dla swego prawidłowego rozwoju nie tylko zwykłej siły roboczej, ale takich kadr, które byłyby zdolne do wypełnienia nowych jakościowo zadań. I nie chodzi tu tylko o dyscyplinę pracy, lecz także o konieczność nieustannego podnoszenia swoich kwalifikacji i o to szczególne poczucie dumy i współodpowiedzialności za swój zakład pracy, które leży u podstaw powodzenia naszego budownictwa. A tych warunków nie może wypełnić do końca człowiek, który jedynie „połową swej duszy" przywiązany jest do socjalistycznego przemysłu a drugą połową tkwi jeszcze na własnym kawałku ziemi.

Ale, być może, zyskuje na tym rolnictwo? Sprawdźmy Oto dokonany przez Maja rachunek gospodarza z Bystrej, zatrudnionego w Nowej Hucie. Posiada on 1,30 ha ziemi ornej, pocięte na 29 kawałków, najdalszy o 6 km od domu. Obróbka tej ziemi wymaga 12 dni roboczych konnych, wywóz nawozu 3 dni, obróbka ziemniaków 2 dni, do tego ciężki wkład pracy, gdyż na małym poletku możliwa jest tylko ręczna mordęga.

Jakaż więc kalkulacja? Przywozi chłop z Nowej Huty zarobek — a żona musi zeń dużą część zużyć na opłaty zasiłę pociągową. Wysiłku i zużytego czasu masa, a wydajność nieproporcjonalnie mała. Któż więc korzysta? Jedynie miejscowy bogacz — on to w głównej mierze rozporządza sprzężajem — pole do wyzysku pozostaje więc dlań nadal niezamknięte.

Dlaczego zatrzymaliśmy się tak szeroko nad przykładem chłopów-robotników z Bystrej?

Dlatego by pokazać, że problem zapewnienia kadr dla socjalistycznego przemysłu nie polega jedynie na zwyczajnym dopływie siły roboczej ze wsi. Idzie tu bowiem o przejście ze starego do nowego systemu organizacji produkcji, o takie przejście, które stworzy człowieka na miarę przemysłu, który buduje, zarazem zaś dźwignie na wyższy poziom rolnictwo, wyzwalając je równocześnie z nadmiaru sił do pracy i kułackiego wyzysku.

Nie oznacza to, rzecz jasna, aby trzeba było dyskwalifikować w ogóle szeroko rozpowszechnioną u nas praktykę łączenia pracy w przemyśle z posiadaniem własnego gospodarstwa rolnego — jest ona jeszcze niezbędna na naszym etapie rozwoju. Ale trzeba też pamiętać, że jest to dopiero początek drogi, a nie jej koniec. I tam gdzie istnieją po temu warunki — trzeba posunąć się o jeszcze jeden krok naprzód. Tak właśnie stawia sprawę aktyw z Bystrej — łącząc sprawę werbunku ze sprawą przebudowy rolnictwa.

Jan Danecki

LESŁAW BARTELSKI

„ROBOTA JAK TEN MAG

SIEDZIELIŚMY we trzech na żelaznych korytach, zwanych pospolicie muldami, naprzeciw pieców martenowskich, buchających żarem. Marian ze smakiem zajadał chleb z boczkiem, my ze Stefanem gawędziliśmy. W niewielu słowach, skąpych w określenia, wyjaśnił mi mechanizm wsadzarki. Patrzyłem na mego rozmówcę, na jego twarz pobrużdżoną jak u chłopów zmarszczkami, rozjaśnioną w życzliwym uśmiechu. Przypatrywał się czerniejącemu pudłu maszyny z takim zainteresowaniem jakby ją widział po raz pierwszy, poznać po nim było, że zajmuje go ona mocno. — Niezła, niezła — zamruczał tonem pochwały. Wsadzarka była produkcji i konstrukcji polskiej.

Zwracając się do mnie, dodał, że choć mu tutaj, w Częstochowie dobrze, to jednak tęskni za swoimi — żoną i córką. Spytałem gdzie one są, okazało się, że mieszkają w Dąbrowie Górniczej.

— Bo ja tam pracuję — zaznaczył Stefan. — Na hucie „Bankowej".

— Myślałem, że wy stąd. Z Rakowa? — zdziwiłem się. Uśmiechnął się na to, nic nie mówiąc i zdjął przybrudzoną czapkę z nałożonymi na wierzch ciemnymi okularami hutniczymi. Przygładził włosy szeroką dłonią, nadal uśmiechając się w milczeniu. W otworach piecowych błyskało płynne złoto.

— Taka praca to przyjemność — przypochlebiłem mu, wskazując na dźwig. Zgodził się ze mną, choć niby silił na obojętność, tłumacząc, że praca ta jak każda inna. Zwrócił ku mnie twarz, w rysach przebijała pewna godność, ciemne jakby wytopione z rudy oczy lśniły blaskiem, odbijało w nich słońce, zawisłe jak jastrząb nad świetlikami hali. Chciał coś powiedzieć, zmarszczył w zastanowieniu czoło, gdy Marian szturchnął go w bok.

— Jedź Stefan. Topowy woła!

Ruchy wsadzarki zagłuszyły dalsze słowa. Stefan nakierował maszynę ku wypełnionym muldom i manewrując przybliżył ku nim dyszel, Marian zaś umocował koryto ze szpatem i bauksytem, wsadzarka zazgrzytała, zrobiła obrót, dyszel znalazł się w piecu i zginął na chwilę w płomieniach.

— Do wszystkiego trzeba dochodzić pomaluśku, pracą własną — Marian wycierał dłonie o kombinezon. Był to blondyn średniego wzrostu, raczej drobny i szczupły, o rysach delikatnych, twarzy różowej przypieczonej ledwie słońcem, które nie chwyta, złociejące włosy wystawały kudłami spod czapki, małe baczki czepiały się policzków. Powtórzył: — Uczyć się trzeba, własnym doświadczeniem, żeby tak powiedzieć, trzeba dochodzić do celu. Ja sam, musisz pan wiedzieć, do niedawna pracowałem przy zwózce rudy. Dopiero od dwu tygodni jestem przy wsadzarce. A przedtem to łopata i popychanie wózka. Parszywa robota, nudna, bez żadnej przyszłości. Widział pan ten kurnik obok? Starą stalownię? Gdzie tam człowiek mógł się wcisnąć? Nawet starzy, wytapiacze, z praktyką, można powiedzieć odpowiedzialną, szli na inne huty, nie Dąbek? — zwrócił się do starszego robotnika, który w międzyczasie podszedł do nas i przysłuchiwał się temu, co mówił Marian.

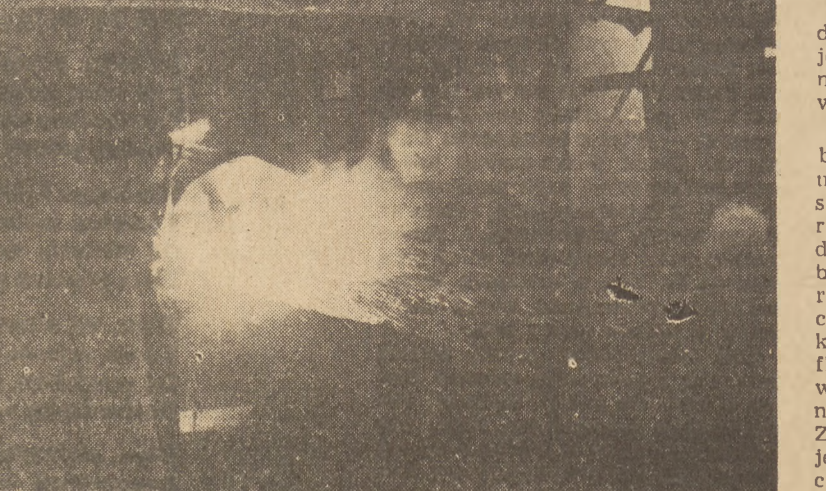


Foto — WAF

— Co racja, to racja — zgodził się zapytany.

— Co tak pan kiwasz głową — zniecierpliwił się Marian. — Może tak nie było? I mój stary był tu wytapiaczem, bo to u nas zawód przechodzi z ojca na syna. A stary u Hantkego pracował od początku, jeszcze hutę stawiał, potem przyuczył się i do pieców poszedł. Naprzód jako pomoc, potem na pierwszego wytapiacza. Mieszkał w Kamienicy Polskiej, codziennie drałował te parę kilometrów, skwar czy zawieja, wszystko jedno, dopiero później przeniósł się na Raków. — Marian wskazał ręką na mury nowej stalowni, zasłaniające przyfabryczne osiedle. Tu się urodziłem, w 1920 roku...

Przerwał. Skręcał papierosa. Spytałem go, ponaglając. — No, a co dalej?

— Wiele do opowiedzenia nie ma. Tyle, że jak miałem trzy albo cztery lata — zaczął mechanik — nastąpił wybuch w piecu. Znalazł się między żelastwem pocisk artyleryjski, sortownicy nie wyłapali, dostał się do pieca i eksplodował. Mojemu ojcu nogę urwało, twarz pocięło, myślisz pan, że jakieś odszkodowanie otrzymał. Figę, można powiedzieć...

Dąbek pokiwał ze zrozumieniem głową. Stał wsparty o filar i śledził pracę wytapiaczy. — Pamiętam — zachęcił Mariana — mów dalej!

— Nic już do mówienia nie ma. Bieda i nędza, chcesz pan wiedzieć, ot co było. Czworo nas w domu, jeść dać trzeba, ojciec jeszcze niezdrów, za wielkim staraniem, bo i matka chodziła prosić, dostał się za stróża nocnego, ale i tak długo nie pociągnął. Sparaliżowało go. Potem, potem, ech, szkoda mówić! — machnął ręką.

Milczeliśmy przez chwilę. Stefan ustawił wsadzarkę na dawnym miejscu, wysiadł z kosza i podszedł do nas.

— O, towarzysz Dąbek — przywitał się z przybyłym. — Do nas?

— Do was i nie do was. Chodzę i patrzę jak z tym współzawodnictwem. Kiedy ruszyć będziecie mogli na pełną parę? Bo mnie się śpieszy.

— Coś taki prędki, Dąbek — osadził go Marian. — Piec nie człowiek, jego pogonić nie można. Swoje się wypalić musi i wygrzać.

— Z tobą nie mówię, boś naprzeciwko mnie szczeniak. Na robotę swoją patrz — uniósł się gniewem Dąbek, ale był to gniew udany, nieszczery. Oczy mu się śmiały. — Wy, to aby robotę odwalić — narzekał. — Bez sumienia. A potem wypadek, płacz i zgrzytanie zębów. A we wszystkim, w każdej najmarniejszej robocie odpowiedniego starania trzeba.

Wtrąciłem się przerywając mu. — A wy gdzie pracujecie?

— W Radzie Zakładowej.

— Ech, tam taka praca — mruknął Marian. Chciał dokuczyć Dąbkowi. Ten popatrzał na niego i odpowiedział. — Ale ze szmelcerzy jestem, wiesz. Z ojca na syna, trzeba wiedzieć. Nie od dziś, jak inni — splunął pod nogi Marianowi, który uśmiechnął się nieco krzywo, — Dawniej to inaczej było, wiesz? — zapytał Mariana wprost. — Dziś robotę do ręki dają, proszą się abyś przyszedł. A dawniej co człowiek dzień przepracował, to dwa odpoczywał. Kapitalista uważał, aby się nikt nie spracował. Tak i nasza huta zamierała, podobno nie opłacała się już. Żadnych tu inwestycji nie robiono, właścicielom na zakładach nie zależało, tylko tyle, by wycisnąć resztę, co się da. Ja sam wyniosłem się już przed wojną do Stalowej Woli, tam ludzi potrzebowali. A tutaj! O ludzi nie dbali, mało to ich było? — powiedział bez goryczy, jakby uważał to za coś zwyczajnego...

— Aleś pan tu powrócił — powiedział Marian. — Pamiętam pana, jeszcze z pierwszych lat wojny, nim mnie do Rzeszy na roboty nie wywieźli?

— Wrócić wróciłem, bo i gdzie było przyjść jak nie do swoich. Wojna przecież wybuchła, to człowiek na stare śmiecie powrócił. Wtedy i huta ruszyła, hitlerowcy wszystkich według spisu do roboty zagonili, potrzebowali żelaza i stali, ganiali to oni robotników, a u nas, trzeba wiedzieć, ciągle się coś psuło. To oni na nas z kolbami i krzykiem: „Ach, wy verfluchte! — wreszczą — Robić się wam nie chce? Do Oświęcimia stąd niedaleko. Auschwitz, verstehs du?" Zaciskaliśmy zęby, czekaliśmy swojej chwili. Na murach huty ktoś nocą rysował kredą duże żółwie. U nas, na Rakowie, była komórka, partyjna znaczy się, prasa szła między nas, ludzi nowych do roboty werbowaliśmy. Nawet sztandar uszykowaliśmy, czerwony sztandar. I przyszedł ten dzień, człowieku, jak dziś pamiętam, armaty grały, czołgi szły a my od pieców nie odstępowaliśmy, niech pierwszy spust będzie dla Polski! Nie udało się, bo elektrownia stanęła...

Pamiętałem dobrze te chwile, pracowałem wtedy w jednej z fabryk włókienniczych, na „Stradomiu". Hitlerowcy uszkodzili elektrownię jak się wycofywali, broniąc miasta, krótko wprawdzie, Rosjanie wbili się bowiem pancernym klinem między niemieckie dywizje. Wyswobodzona Częstochowa przeżywała radosne dni, ludzie płakali ze wzruszenia gdy słyszeli: „Jeszcze Polska!" Na wielki wiec, pierwszy powojenny wiec, na którym przemawiał w imieniu Rządu płk. Ochab, hutnicy z Rakowa przybyli gromadnie i ze sztandarami, czerwono u nich było od sztandarów ponad głowami. A kiedy wybrano pierwszego prezydenta miasta, został nim hutnik z Rakowa, Langner. Powiedziałem o tym Dąbkowi, ucieszył się. Spojrzał na mnie łaskawie. — Ze szmelcerzy on — powiedział o Langnerze. — A wiecie, co to znaczy? Jak tu Rosjanie przyszli, to jeden powiedział do mnie po rusku: „Daj choć popatrzeć, bracie, na piece, ja też szmelcerz!" Coście na „Stradomiu" robili? — zwrócił się do mnie z pytaniem,

SYLWESTER BANAŚ

ZWYCIĘŻA MASZYNA

SKORO świt rozjechały się traktory do swoich miejsc pracy. W POM-ie został tylko jeden. Miał on być użyty wraz z nowo-przywiezioną snopowiązałką na polach w okolicy Jasieńca. Miał kosić żyto u Stefaniaka. Długo stary nie chciał zgodzić się, by u niego pierwszego pracowała maszyna. Wykręcał się jak mógł, ale wreszcie ustąpił ni› mając już argumentów, by opierać się dalej.

— Jakżeż to! Jesteście sekretarzem i musicie dać przykład — nacierali na niego Gruda i Cieślak.

Stefaniak rad był skosić maszyną, bo już do kosy nie miał siły, ale bał się gadania ludzi i zrzędzenia żony. Zawsze to pierwszy, niechby tak już lepiej kto inny był. Wreszcie machnął ręką:

— Kosta i tak mi łeb urwą...

Błyszcząc czerwonym lakierem ruszyła snopowiązałka w pole. Zza węgła chaty wyglądała teściowa Przygodzkiego, żegnając się raz po raz i spluwając ze zgrozą. Zapłakana Stefaniakowa przytrzymywała starego za rękaw:

— I nie posłuchałeś·ludzi, i wziąłeś se to-to na pole. Zobaczysz, Bóg nas pokara! Idź, wypędź ich!

— Cicho bądź! — wrzasnął rozeźlony do ostatka. Wyrwał się gniewnie i, zapomniawszy nawet wziąć czapki, pobiegł błyszcząc łysiną w kierunku pola.

Jasieńscy chłopi wyszli również. Z kosami stali przy swoich zagonach spoglądając ze złością a zarazem ciekawie w stronę krzątających się przy maszynie ludzi.

— Gotowe — zawołał Cieślak nastawiwszy stół na odpowiednią wysokość.

Szczęknęła sztanga ścinając z jazgotem słomę. Powoli obracał się wiatrak, jakby z pieszczotą nachylając w stronę płócien ciężkie, pełne kłosy. Bezszelestnie sunęły płótna, podając ścięte zboże na górę, do ubijaczy. Nazbierała się już tęga r··zygarść zboża. Znienacka, jak gdyby podstępnie, wychynęła od spodu iglica opasując zboże sznurkiem. Ciachnął nożyk. Fajt — obróciły się widełki i średniej wielkości snopek odpadł na bok. Za parę sekund drugi i trzeci. Chłopi wyciągali z daleka szyje, ale nie podchodzili. Tylko dzieci, choć jeszcze bojaźliwie, przybliżały się stopniowo.

— Dobrze idzie! — powiedział Cieślak przypalając papierosa.

— A dobrze — z zadowoleniem przytaknał dyrektor przyglądając się sprawnej pracy maszyny.

Trrr... — zaskrzeczało niemile i nie związane zboże zaczęło mierzwić się za maszyną. Traktorzysta zahamował.

— Co jej jest? — zajrzał Cieślak — aha, sztanga zawadza o palce.

Kilkanaście puknięć młotkiem i palce (bagnety) zostały uregulowane. Znów sprawnie odpadły dwa snopki...

— Stój, stój! — zatrzymał Cieślak traktorzystę. Widełki znów wypychały niezwiązaną słom. Nachylił się z traktorzystą nad su płaczem.

— Zgaś motor, nożyk do niczego.

Wymiana nożyka zajęła z pół godziny. Zaintrygowani chłopi zbliżali się pomału.



Foto — CAF

Znów ruszył traktor i znów musiał się zatrzymać: zacięły się płótna.

Cieślak, zły i czerwony ze wstydu poprawiał ciągle coś nowego. Nim traktor objechał pole dookoła, było z dziesięć postojów i minęło trzy godziny.

Ze wszystkich pól zeszli się chłopi i ostentacyjnie łazili po ściernisku, trącając nogami zmierzwione zboże.

— Ale kosi, jakby pies zębami wyrywał! Szkoda zboża, marnuje się.

— Oj, nie będzie Stefaniak jadł chleba w tym roku, jak mu się zachciało cudów. Szkoda chłopa — litowali się obłudnie, radzi, że mogą dogryźć.

— O, patrzta! — nawet słomy nie zetnie, ino zmierzwi i ziarno wytrzęsie — zatrzymali się kupą w tym miejscu, gdzie zacięła się sztanga i pas zboża długości trzech metrów został zszarpany.

— Tak wygląda robota w kołchozie — wskazywał palcem Stecki.

— Taka maszyna to dobra ino na propagandę, jak stoi na podwórzu — przemądrzale kiwali głowami chłopi.

— Eee, bo teraz wszystko do niczego za tych tam komunistów — dodał ciszej Styga.

Słuchali tych przycinków traktorzysta i Cieślak. Dyrektor tylko wargi zagryzał.

— Zabierzcie tę maszynę do POM-u, nie nadaje się. Trzeba zrobić główny przegląd — rozkazał.

— Dobra, założę ino koło transportowe — mruknął Cieślak patrząc w ziemię, by nie widzieć ironicznych min chłopów.

Stefaniak drapał się z zakłopotaniem w łysą głowę.

Do Cieślaka podszedł Zielonka:

— No! może będziemy się ścigać! — wykrzywił gębę w uśmiechu, pokazując spróchniałe zęby. — Wy tą waszą maszyną, a ja kosą. Już nie bądźta mądrzejsze od wszystkich i Pana Boga i rzućta te wymysły!

— Odejdź — warknął Cieślak mocując się z kołem. — Odejdź głupioku, powiadam ci...

— Skoczta który po Stefaniakową! Niech zobaczy, co jej stary wymądrował — powiedział Stecki.

Sypnął się z ochotą na przełaj przez kartofle Styga.

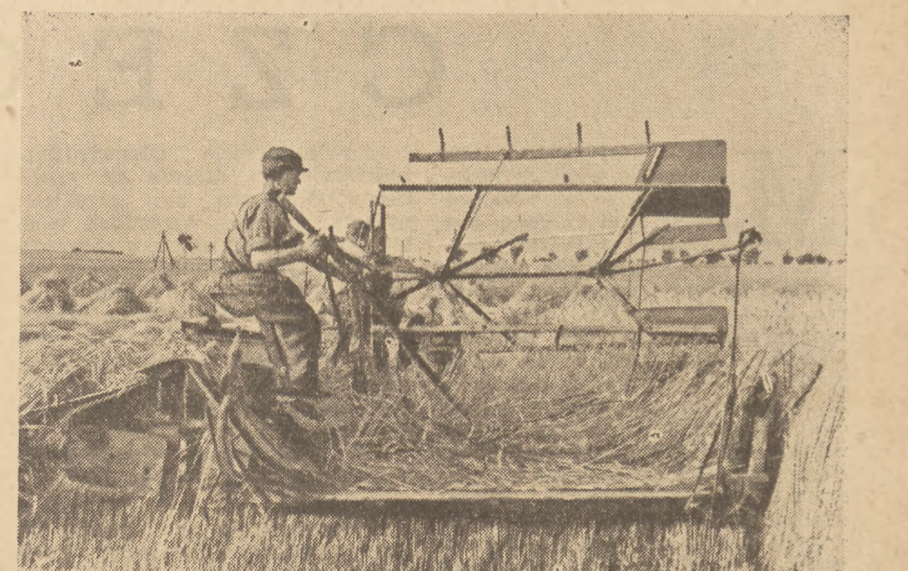


Foto — CAF

Dobiegała Stefaniakowa załamując ręce nad głową.

— A idźtaż wy z pola z tymi trachtorami! Nie róbta znisty — podniosła głos wygrażając chudą pięścią.

— Zbierzmy się, chłopi, pojutrze, pomożemy Stefaniakom skosić — radził życzliwie Stecki. — Dlatego, że stary zgłupiał i dał się im otumanić, to rodzina ma być bez chleba?

— Dobra — skosimy ci, Stefaniak, pojutrze — zgadzali się chętnie chłopi.

— A niech wom Bóg zapłaci, kochane sąsiady — dziękowała z wylaniem Stefeniakowa.

— Ino z tymi zerwijta — wskazaś Stecki palcem na oddalający się traktor.

— Chodź do domu i podziękuj dobrym ludziom, że nie patrzą na twoją głupotę — szturchnęła w bok starego Stefaniakowa.

Stefaniak stał z opuszczoną głową dławiąc się upokorzeniem.

*

— Bić mnie po łbie i to bić za głupotę — klął sam na siebie Cieślak rozbierając snopowiązałkę. — Zamiast wstać przed świtem, przejrzeć ją przed wypuszczeniem na pole, to ja się wylegiwałem do piątej, a teraz taki wstyd! — narzekał dokręcając z pasją śruby.

— Bo kto by się spodziewał! — wtrącił traktorzysta. — Wyglądała jak nowa, a zresztą kiedy mieliście przejrzeć, jak przyjechałem z nią o 4-tej rano?

— Ha, nic dziwnego, że nie kosiła. Patrzcie, dyrektorze, jakie zardzewiałe części i zdarte. Pomalowano tylko grubo świeżą farbą.

— A zapewniali, że jest po generalnym remoncie! Dranie! Taką maszynę nam wetknęli w same żniwa — zdenerwował się dyrektor.

— Ale żeby nie wiem co, to musimy tą maszyną skosić żyto Stefaniaka i skosimy — postanowił twardo Cieślak, biorąc się z zapałem do roboty.

Daremnie przychodził Piotruś, wzywając ojca na obiad, a potem sama Cieślakowa. Nie odszedł. Zjadł na prędce, na stojąco, i znów majstrował. Zapadł wieczór, Cieślak przyniósł sobie z domu naftową latarkę i przy tym nędznym świetle niezmordowanie pracował dalej. Świt zastał go na nogach.

— Cieślak, Cieślak, idźcie spocząć — namawiał go dyrektor.

— Nie, nie pójdę — uparł się. — Musimy im pokazać, że ta maszyna to nie kosa i przekonać ich, bo widzi dyrektor, co się tam na tym polu robi.

A na pole to zbliższa i zdalsza, po jednemu i po kilku zachodzili chłopi. Znajomych jadących drogą zatrzymywał Styga, by „coś“ obejrzeli. A na polu Stecki udzielał informacji:

— To tak koszą te... snopowiązałki traktorami — podkreślał. — Tak będzie wyglądać na wszystkich polach, jak założą kołchozy. Marnowanie zboża i tyla, a naród będzie z głodu zdychał.

— Oj, potrzebne te wymysły, potrzebne — kiwali głowami chłopi, biorąc do ręki „na pokazanie“ parę ździebeł z wytrząśniętym ziarnem. — Niechta i inne zobaczą, co nie miały tu czasu przyść.

Na polu rzeczywiście nędznie wyglądało. Mimo że traktor tylko raz objechał dokoła i skosił pas szerokości na półtora metra, na całej przestrzeni — długości może stu metrów — na tle zmierzwionej słomy leżało osiem snopeczków, jak w karczmie spite chłopy. W kłosach gdzieniegdzie tkwiło ziarenko żyta. Nawet pas nieskoszonego zboża również był zmierzwiony. Dziwił się sam Stefaniak przyszedłszy z rana na pole:

— Wczoraj wydawało mi się, że w kłosach były ziarna, i słoma nie wyglądała tak zmierzwiona.

— Tak wam się wydawało, boście byli zaślepieni — uśmiechnął się pod wąsem Stecki. — Wy, stary chłop, i daliście się tak byle komu nabrać.

— A już-ci — zgadzał się niezdecydowanie Stefaniak.

Znów skończył się dzień, a Cieślak wciąż pracował.

„Skąd w nim tyle wytrzymałości?“ — dziwił się dyrektor usiłując skłonić go do choćby godzinnego spoczynku.

— Niech mi dyrektor da spokój! Robiłem na dziedziców piętnaście lat i dorobiłem się ino odcisków, to zdaje się, mam prawo popracować kilkadziesiąt godzin bez przerwy dla Polski Ludowej...

Już gwiazdy zaczynały blednąć, gdy Cieślak pokręcił ostatni raz kluczem. Założył sznurek, szarpnął dobrze — ucięło — związało. Jeszcze jeden raz — to samo, trzyma.

Wyprostował się:

— Uf, bolą gnaty... — mruknął do siebie. — Zapalaj traktor! — zwrócił się do traktorzysty.

— Czego? — wybałuszył ten oczy. — M·szyna gotowa. Robilim całą noc, trza iść spać.

— Ja ci pójdę spać — prawie że krzyknął Cieślak. — A zapomniałeś, że dzisiaj przyjdą skosić chłopi Stefaniakowi?

— Aha — domyślił się traktorzysta — uprzedzimy ich, to fajnie! Jedziemy! A dobrze, że rosa dziś nie spadła, płachty by nie ciągnęły — dodał macając ręką po trawie.

*

Znad Wisły błysnęły pierwsze promienie słoneczne i załamały się w szkłach reflektorów „Zetora“, robiącego ostatnie okrążenie. W tej chwili od drogi ukazało się kilku chłopów z kosami na ramieniu. Na przedzie szedł Stefaniak ze Steckim, za nimi — rozprawiając z ożywieniem — Przygodzki i paru innych. Zobaczywszy traktor na polu, przyśpieszyli kroku.

— Co u licha! śni się czy co? — mruknął Stecki trąc oczy.

Tam, gdzie wczoraj jeszcze stał łan żyta, chwiejąc się w podmuchach przedwieczornego wiatru, leżały teraz w równych rzędach snopy, sterczało czyściutkie ściernisko. Nie walało się ani źdźbło słomy, nie potrzeba było nawet zagrabywać.

Przetarł Stecki jeszcze raz oczy, uszczypnął się:

— Nie śpię przecie, a jednak tak wygląda, dwa i pół hektara żyta skoszone, związane! kiedy?!

— Witajcie! witajcie! — machał wesoło czapką Cieślak. — Przyśliście ustawiać w kopy, no to dobrze, układajcie. Ino, że kosami trochę nieporęcznie, snopki porozcinata — zadrwił mszcząc się za przedwczorajsze.

Przygodzki krył się nieznacznie za plecami innych. Dojrzał go jednak Cieślak:

— Czesław, Czesław, toś i ty przyszedł z kosą? Pewno skosić swoje pole pod snopowiązałkę.

— Tak — mruknął zmieszany Przygodzki.

— No, to jazda, szkoda czasu! Koś!

Nim się zdążył rozmyślić, już maszyna uwijała się przy jego działce, sprawnie odrzucając snopy.

— O jej, da mi teściowa, da! — Przecie wczoraj wieczorem był u nich Stecki i mocno zawstydził Przygodzkiego, że tak do tego POM-u przystał, jak rzep do psiego ogona. Przyrzekł więc, że nigdy już nie pójdzie do nich. Tym bardziej, że i ksiądz w niedzielę był tu zakładać kółko różańcowe i dawał do zrozumienia, że nie dobrze będzie z tymi, co to „wiarę ojców zaniedbują oglądając się na cudze bogi“. Kazała mu dzisiaj teściowa iść kosić z wszystkimi do Stefaniaka, na pokutę. A potem mieli kosić u niego, aby nie wpuścić tych diabelskich maszyn, co to...

„E, dziej się, co chce“ — pomyślał z rezygnacją i wtulił głowę w ramiona widząc zbliżającą się teściową.

— Ale macie zięcioszka, tfu — splunął Stecki wychodząc naprzeciw teściowej. — Jak kurek na dachu kościelnym. Dopiero wczoraj miał mówione, a dziś, patrzcie, wziął sobie snopowiązałkę.

Starą zaparło z wrażenia, nie mogła złapać oddechu. Bezwiednie schyliła się i wzięła w rękę snopek. Targnęła nim silnie ze złością, raz i drugi — mocno związane, nie rozleciał się.

— Zjeżdżaj z pola, psie nasienie — wydarła się do traktorzysty. — Nikt cię tu, gówniarzu nie prosił.

— Ee, ciotko, ciotko, l..piej powiedzcie: „Szczęść Boże“ i snopki ustawiajcie — uśmiechnął się traktorzysta dodając gazu.

Wzięła teściowa jeden snopek w rękę, wzięła drugi. Siłą nawyku przyłożyła do siebie — stoją. Obejrzała się. Opodal Przygodzki gapił się na nią z zakłopotaniem.

— Ruszże się, co myślisz, że sama na stare lata będę harować! Podawaj snopki, draniu jeden, nie będzie ziarno walać się po ziemi. Kiej już skoszone, to niechta!

Spojrzał zdumiony Stecki, puknął się palcem w czoło.

— Nic nie rozumie, chodźta chłopy do domu.

Sylwester Banaś

NES, CO ZŁOM SORTUJE...“

— Po powstaniu mnie przygarnęli, bo ja właściwie z Warszawy jestem — chciałem dalej mówić, ale podszedł jeden z wytapiaczy i przywitał się z Dąbkiem. — Jak ci idzie? — dopytywał się były szmelcerz. — Piec kiedy nagrzejesz?

— Nie gorączkuj się, Julian, na czas będzie, znasz mnie chyba? Maniek, szpiglu trzeba — zwrócił się do mechanika. — Jedź pan ze mną — zaprosił mnie Marian. Nie dałem sobie drugi raz powtórzyć, wsiadłem za nim do kosza, maszyna ruszyła, Stefan zaklinował mulę i ruszyliśmy pod piec. Marian manewrował ostrożnie, widać, że bez większej wprawy.

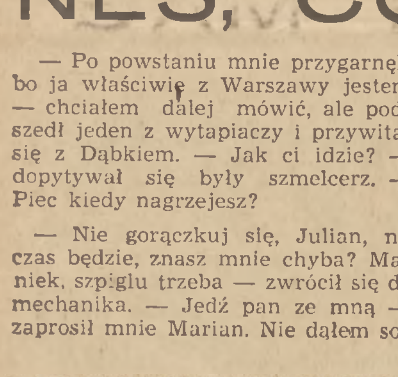


Foto — WAF

— Dopiero Stefan uczy mnie jak kierować — usprawiedliwiał się. Szarpnął za rączkę, wsadzarka zaczęła się cofać, dyszel wyłaniać z żaru. Marian pokręcił korbą i maszyna zwróciła się bokiem ku Martenowi. Jeszcze parę ruchów i stanęliśmy.

— Zupełnie dobrze — pochwalił Stefan. Marianowi dziko błysnęły oczy, odpowiedział zaczepnie. — Pewnie, że dobrze. Nie z hutników jestem?

Stefan wzruszył ramionami, odchodził. Marian dorzucił, biorąc mnie na świadka. — Majster się znalazł, od pługa przyszedł i rady dawać będzie!

Stefan odwrócił się, przybladł na twarzy, wargi wykrzywił w złości. Nie widziałem go do tej pory takim jeszcze, zacisnął dłonie w pięści i powiedział. — Ty, Marian, nic mi nie wymawiaj. I bądź wdzięczny, że się czegoś nauczysz. Ja taki sam hutnik albo i lepszy. Dwa tygodnie temu rudę woziłeś, a dziś pana chcesz zgrywać? Fachowiec wielki! Idź i sam pojedź, pojedź jeszcze raz, ręki ci drżą jak panience co chłopca pierwszy raz widzi — szydził, wołając na cały głos. Dąbek uspokajał go. — Co on myśli, że mnie tak łatwo przyszło jak jemu. A ile przeszedłem, nim hutnikiem zostałem? Pewnie, z chłopów jestem, żaden to wstyd. Cóżeś myślał, z gospodarzy. U nas ziemi wprawdzie niewiele, gąb więcej, ale zawsze gospodarski syn...

Marian roześmiał się, poklepał go po ramieniu i gniew Stefanowi przeszedł. — Bo my zawsze tak — powiedział Marian tonem wyjaśnienia — dogryzamy sobie. — Aby się człowiek nie znudził.

— No, chłopcy starajcie się — Dąbek pożegnał się i odszedł. Stefan ochłonął i odpowiedział poważnie Marianowi.

— Ze mną ty, bracie nie zaczynaj. Bo nie lubię, po prawdzie mówiąc. Jeszcze ci krzywdę jaką zrobię i co? — popatrzył na swoje szerokie dłonie. — Myślisz, że jak cię ojciec na rudzie zrobił, to już wszystko? Nie, bracie, fach najważniejszy, umiejętność!

Marian łagodził. — Lepiejbyś coś opowiedział. Napewno towarzysz byłby zadowolony, gdybyś mu opowiedział o swoim życiu. — Marian wskazywał na mnie, mrugając filuternie oczyma, jakbym ja był przyczyną kłótni.

— Co tam do opowiadania. Ot, zwyczajne życie — zastrzegł się Stefan. — Nic ciekawego dla szanownego pana.

Aby go wciągnąć w rozmowę rzuciłem niby od niechcenia. — Widział pan, sianokosy? Byłem niedawno na skraju huty, tam łąki koszą.

Wzięło go. Skinął głową potakująco. — Raniutko, trzeba wiedzieć, przed zmianą tam poszedłem. Aby trawie się przyjrzeć, czy pod kosę zdatna — przyznał się. — Bo wiesz pan, przed świętym Janem uprzątnąć muszą. Ale u nas, w rzeszowskim, to łąki lepsze. Tu ziemia lichsza.

Powoli rozgadał się. Pochodził spod Jasła, jak tylko dorósł, podnajmywał się, gdzie się tylko dało. Potem wywieźli go w czasie wojny na roboty do Rzeszy, nie miał się ojciec czym sołtysowi opłacić.

— I trafił pan tam do huty? — spytałem, zadowolony ze swej przenikliwości. Popatrzał na mnie nieco urażony, że przerywam mu tok myśli i zwolna odrzekł jakby coś sobie przypominając. — Nie, Pracowałem u bauera. Na roli.

Było to na północy, pod Hamburgiem, gospodarka była duża, nawet synowie Niemca, którzy służyli w artylerii przeciwlotniczej przyjeżdżali do domu pomagać przy żniwach. Tam też Stefan poznał dziewczynę, z Dąbrowy Górniczej była, ładowaczka z huty, Jadzia jej na imię. Chodzili ze sobą, pobrali się jak tylko się wojna zakończyła, dziecko przyszło na świat i kiedy powrócili do kraju w 1946 roku, zajechali do Dąbrowy. Teściowa Stefana miała tam mieszkanko, zamieszkali razem i Stefan poszedł do pracy w hucie. Żona powiedziała: „Znajomości mam, u nas będziesz pracował“. Nic nie odpowiedział, choć gryzła go tęsknota za ziemią. Ale nie mówił jej nic, dobra dziewczyna była, a przy tym żona ślubna. Przez jesień i zimę przepracował przy złomie ,wytrzymywał jakoś, rodzice pisali, że im po wojnie nienajgorzej, wszyscy wychodzili z domu, możeby on powrócił? Ziemi mieli więcej, bo i z reformy trochę dostali, konia się ojciec dorobił, więc inna gospodarka szła. Chciał pojechać, ale z drugiej strony robota go trzymała, dnia szkoda było opuścić. Przyszedł czerwiec, sianokosy. „Pytałeś pan — zwrócił się do mnie — czym widział jak tutaj na łączce pod hutą koszą? Ja w Dąbrowie wieczorami wychodziłem na dalekie spacery z moją małą, aby tylko zobaczyć czy już koszą i odetchnąć zapachem pól. A dziecko to brałem, żeby się ze mnie nie śmiali, że niby na spacer z nią idę“ — dodał nieco cichszym głosem. W żniwa nie wytrzymał, rzucił wszystko, pojechał do rodziców. Żonie powiedział ,że matka zachorowała i jeszcze tam jej jakiś różności naopowiadał, aby mu dała przyzwolenie. Odjeżdżając, widział w jej oczach żal, ale nie odmawiała go. Zapomniał o tym wszystkim, kiedy chwycił za kosę. Poczuł się innym człowiekiem. „Można żyć — myślał — nie to co przed wojną, gdzie człowiek wycierał się po cudzych kątach“. Po paru dniach powróciła myśl o żonie. Wiedział, że da sobie radę, o to nie miał obawy, z teściową mogła zostawić małą, a ludzi do pracy w hucie potrzebowano. Jednak te myśli o pracy, o kolegach zaczęły każdego dnia powracać z coraz większą siłą. Na sercu legł mu ciężar, nie wiedział na co decydować się, — zostać na wsi czy powrócić do huty? Już zabierał się do porozmawiania z rodzicami, już szykował rzeczy do drogi, ale odkładał je, bo robota w polu czekała. A przy robocie zapominał o wszystkim. Przeszło dwa miesiące, wyprowadzał w chłodniejsze poranki konia na podorywkę, ale często teraz przystawał, wpatrując się w widnokrąg. Tylko pola ciągnęły się, długie jak kiszki, pokrajane miedzami, gruszami polnymi oddzielone od siebie. Ani śladu komina fabrycznego! Zrzadka zabielał lasek brzozowy, wieś czapami słomianych strzech zamykała horyzont. Skiby były coraz cięższe aż pewnego dnia, prawie pokryjomu, bez pożegnania rodziców Stefan uciekł ze wsi. Nie tylko rodzina ciągnęła go do powrotu, ale i praca. Tęsknił za pracą w hucie. „Przypatrz się pan jej dobrze — podkreślił z zapałem — a takiej drugiej chyba nigdzie nie znajdziesz“.

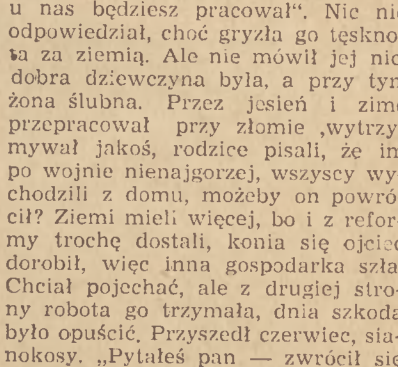


Foto — WAF

— A żona? — spytałem. — Czy ucieszyła się przyjazdem.

Nie odpowiedział. Wpatrywał się w migoczący płomień, ostry blaskiem jak czerwcowe słońce. Przymrużając oczy kończył swoją opowieść. — Żona, pytasz pan, czy czekała? A pewnie, czekała — podkreślił z dumą w głosie. — Jakby czekać nie miała, przecież to ślubna żona.

Wiedziała, że nie wytrzyma i po pewnym czasie wróci. „Ty, Stefan — powiedziała na przywitanie — nasz już jesteś, hutnik. Gdziebyś nie poszedł, za tobą tęsknota pracy przyjdzie, bo robota jak ten magnes co złom sortuje; szmelc odpada, lepsze żelastwo przyciąga. A ja przecież wiedziałam, za kogo za mąż wychodzę“.

— Koledzy pana przyjęli dobrze? — zapytałem z ironicznym uśmiechem, wpatrując się w Mariana. Stefan odpowiedział po chwili namysłu. — Pewnie, że dobrze. Prawdziwi to hutnicy, nie tacy jak ci, co po dwóch tygodniach uważają, że rozumy pojedli.

Marian zaśmiał się. Uważał sprzeczkę za skończoną, powiedział serdecznie:

— Widzisz, Stefan, dzięki tobie staję się hutnikiem. Bo ty, znaczy się, mój instruktor jesteś.

— Jak cię poduczę, wrócę do swoich. Stęskniłem się za nimi, stęskniłem się za hutą. Bo musisz pan wiedzieć, że nasza „Bankowa“, to najlepsza huta w Polsce. Gdzie tam „Częstochowie“ do niej, daleko jej jeszcze. A wiesz pan, jak wróciłem, koledzy żartowali trochę ze mnie, nawet przezwisko mi dali — Gospodarz, że ja niby w roli zakochany. Ale ja, widzisz pan, przemyślałem to wszystko. Jak gospodarz, to gospodarz — wszędzie...

Lesław Bartelski

Fragment większej całości

ADNRZEJ WALICKI

CZECHOW ŻYWY

MOŻNA zaryzykować tezę, iż spośród wielkich twórców rosyjskiego realizmu krytycznego Czechow jest najmniej w Polsce znanym. Wszystkie dotychczasowe wybory opowiadań Czechowa, począwszy od tych, które ukazywały się w przekładach polskich jeszcze za jego życia, aż do ostatnich, popularnych wydań powojennych, nie dają nam obrazu twórczości pisarza z okresu jego dojrzałości. Znaliśmy dotąd Czechowa-humorystę, Czechowa-satyryka, mistrza literackiej miniaturki szkicu satyrycznego, felietonu. Nie znaliśmy do niedawna Czechowa-dramaturga — uprzystępnienie polskiemu czytelnikowi przez PIW całokształtu dojrzałej dramaturgii Czechowa jest sprawą zaledwie ostatniego roku. Natomiast Czechow-nowelista, mistrz małej i średniej formy literackiej, Czechow nie mający nic wspólnego z ustalonym o nim pojęciu humorysty, stanowi wciąż jeszcze dla nas pozycję nieznaną. Dlatego też ważnym wydarzeniem bibliograficznym jest ukazanie się przekładu książki Jermiłowa *) — — która chociaż pośrednio zaznajamia polskiego czytelnika z tą twórczością, stanowi przecież jądro owego wielkiego wkładu, jaki wniósł Czechow do literatury światowej.

Od roku 1885 — pisze Jermiłow — zaczął Czechow drukować dojrzałe opowiadania nowego typu. Różniły się od dawnych tym, że humor i satyra nie grały w nich głównej roli. Do „czystej" satyry i „czystego" humoru, począwszy od roku 1887—88, powraca Czechow bardzo rzadko. Humor w jego utworach zaczyna grać nową rolę i albo jeszcze bardziej wzmacnia, uwypukla tragizm, albo przeciwnie — mądrym, jasnym uśmiechem „łagodzi" tragedię. Czechow, rozpoczyna okres męczących poszukiwań ideologicznych i uporczywego, postępującego wciąż naprzód światopoglądowego i artystycznego rozwoju. Analiza jego twórczości w związku z rozwojem jego światopoglądu, przełamanie burżuazyjnej legendy o Czechowie jako pisarzu rzekomo bezideowym i apolitycznym, to główna zaleta i nowatorstwo książki Jermiłowa. Na podstawie danych biograficznych, urywków korespondencji i, przede wszystkim, wnikliwej analizy utworów, pokazuje Jermiłow jak narastało w Czechowie poczucie odpowiedzialności za słowo, dążenie do znalezienia odpowiedzi na „przeklęte" pytania ,dręczące wszystkich wielkich pisarzy rosyjskich, a sformułowane w tytule książki Czernyszewskiego: Co robić? Nie znajdując odpowiedzi na to zagadnienie przeżywał Czechow okres depresji, niewiary we własną twórczość, zniechęcenia do życia, które „bez określonego światopoglądu jest nie życiem ale ciężarem i okropnością".

Aby pisać, musiał Czechow odpowiedzieć sam sobie na pytanie po co pisze.

W opowiadaniu pt. „Nudna historia", młoda dziewczyna, Katia zwraca się z pytaniem do swego opiekuna, starego uczonego, typowego choć pozbawionej busoli ideologicznej, przedstawiciela inteligencji rosyjskiej: „Mikołaju Stiepanyczu, ja już nie mogę tak dalej żyć. Nie mogę. Na Boga żywego, niech mi pan w tej chwili powie, co mam robić?" Ale stary profesor nie znajduje odpowiedzi na to pytanie, choć doskonale je rozumie. Dlatego też w chwili śmierci konstatuje z przeraźliwą jasnością, iż poniósł klęskę.



W szeregu następnych opowiadań znajdujemy już próby odpowiedzi na pytanie Kati.

Bijące „jakby młotkiem po skroniach" sumienie społeczne bohatera czechowskiego wyodrębnia Jermiłow jako cechę szczególną literatury rosyjskiej, charakteryzującą „kajających się" kupców Ostrowskiego i „kajającą się" szlachtę Turgeniewa i Tołstoja. Przejmujący jest dany przez Jermiłowa opis podróży w kibitce na Sachalin chorego na gruźlicę Czechowa, jadącego aby opisać warunki życia zsyłanych tam katorżników i „spłacić tym dług swemu sumieniu — sumieniu rosyjskiego pisarza", „Rosyjski pisarz — sumienie wielkiego narodu czuł zawsze swą odpowiedzialność wobec narodu za całe życie kraju" — pisze Jermiłow.

Dotychczasowe sformułowane odpowiedzi na „przeklęte pytanie". były negatywne: nie tak należy postępować. Po powrocie z Sachalinu przechodzi Czechow do pozytywnych sformułowań: już nie tylko pytanie, czego nie należy robić, znajduje odpowiedź w jego utworach, lecz również rozstrzyga się problem, co robić należy. I pierwsza, bardzo jeszcze ogólna odpowiedź brzmi: wbrew moralności tołstojowskiej, głoszącej niesprzeciwianie się złu, nie wolno tolerować zła, należy skupić wszystkie swe siły, aby z nim walczyć. Postawa ta znajduje wyraz w nieznanym dotąd polskiemu czytelnikowi opowiadaniu pt. „Sala Nr 6". System filozoficzny doktora Ragina, głoszący niesprzeciwianie się złu i pogardę dla cierpień, wali się w gruzy w chwili, gdy doktór zamknięty zostaje pomyłkowo w sali nr 6, podobnego do więzienia szpitala dla obłąkanych, w zasięgu władzy brutalnego dozorcy Nikity. Po zamknięciu w warunkach, które sam tolerował przez lat dwadzieścia, pocieszając się różnymi „kojącymi filozofiami", odezwało się w doktorze Raginie „sumienie, równie nieustępliwe i brutalne jak Nikita, i sprawiło, że zadrżał od stóp do głów".

„Sala nr 6" wywarła wstrząsające wrażenie na młodym Leninie. Czechow pokazał dobitnie, iż tolerując zło współdziała się z nim. „To my, bierni nie sprzeciwiający się złu inteligenci — pisze Czechow — zgnoiliśmy w więzieniach miliony ludzi... mnożyliśmy przestępców i zwalaliśmy wszystko na dozorców więziennych o czerwonych nosach". — Na polemikę z reakcyjnym „kaznodziejstwem" tołstojowskim wskazuje Jermiłow również w całym szeregu innych utworów Czechowa. Post, asceza i „uproszczenie życia" inteligencji przez pracę na roli nie dają bohaterom Czechowa poczucia wartości i celowości życia. „Jeżeli rzeczywiście chcesz być pożytecznym, to wyjdź z ciasnego kręgu zwykłej działalności i staraj się oddziaływać od razu na masy".

Szczególnie ostro demaskuje Czechow sfilistrzałe narodnictwo i liberalizm. Liberalna i narodnicka krytyka zarzucała Czechowowi bezideowość, chcąc uczynić zeń głosiciela swych „ubożuchnych" (wg. wyrażenia Jermiłowa) ideałów. Czechow jednakże widział dalej niż oni, rozporządzał większą „intuicją historii i czujnością społeczną". W szeregu opowiadań wykazuje jałowość i bezsilność społecznej ideologii „głupich gustów" nieprawnie uważających się za ideowych spadkobierców Czernyszewskiego i Dobrolubowa. W cyklu opowiadań o życiu wsi, naocznie pokazuje Czechow fałszywość idyllicznych poglądów narodników, usiłujących zatuszować kapitalistyczne przeciwieństwa na wsi.

Krytyce liberalizmu i związanej z nim teorii „małych czynów" (odpowiadającej polskiemu organicznikostwu) poświecony jest cały cykl opowiadań Czechowa. Dla głębszego rozumienia tej krytyki konieczne jest wyjaśnienie częstego w jego utworach symbolu „futerału". Nauczyciel grecki, Bielikow, bohater opowiadania pt. „Człowiek w futerale" reprezentuje go najlepiej — „futerał" to cały jego sposób życia. Ślimacza skorupa, w której zamyka swoją, zadowoloną z siebie ograniczoność, w której chroni się przed wszelkim żywym zetknięciem z otaczającym światem. Bielikow nie ma nic wspólnego z liberalizmem — ucieka przed najsłabszym liberalnym odruchem myśli, robi jedynie to, co jest wyraźnie dozwolone w odnośnych przepisach. Niemniej jednak, taki sam „futerał" odkrywa Czechow w liberalistycznej, kojącej wierze w miniaturowy, ewolucyjny postęp, w rozwiązaniu zagadnień społecznych przez akcję zakładania „apteczek, biblioteczek, punktów sanitarnych". Coraz wyraźniej widzi pisarz, iż „trzeba leczyć nie choroby, lecz ich przyczyny", że filantropia i teoria „małych czynów" to futerały, w które burżuazja chowa swe niespokojne sumienie, w które chroni się przed spojrzeniem w oczy prawdzie ,że są to środki nasenne, osłabiające „już i bez tego nieskończenie słabą u mieszczucha rosyjskiego świadomość swojej odpowiedzialności jako obywatela, za wszystko, co robi rząd". Ogólny nastrój Czechowa krystalizuje się w słowach narratora z opowiadania „Agrest": „Tak dalej żyć nie można! Powołujecie się na porządek rzeczy w naturze, na prawidłowość zjawisk ,ale czy jest porządek i prawidłowość w tym, że ja, żywy, myślący człowiek, stoję nad rowem i czekam, aż sam zarośnie gdy mógłbym przez ten rów przeskoczyć albo zbudować nad nim most? I znowu pytam — dlaczego mam czekać? Czekać, gdy brak sił do życia, a tymczasem żyć trzeba i chce się żyć!".

Z wielką siłą odsłania Jermiłow wewnętrzny tragizm pisarza — ostatniego, wielkiego przedstawiciela krytycznego realizmu, polegający na zrozumieniu konieczności rewolucji przy niewidzeniu sił społecznych mogących ją zrealizować. Stąd ustawiczne rozmyślania ulubionych bohaterów Czechowa o szczęśliwym życiu, które nastąpi kiedyś, może za lat dwieście i którego oni nie dożyją. Wkrótce jednak sam Czechow potępi owe nastroje. Intuicja historii podpowie mu, że „żyjemy w przededniu największego triumfu". Stąd w ostatnich utworach pisarza ton radosnego pożegnania się ze starym życiem i przygotowania do przyjęcia nowego nadchodzącego. Czechow przeczuwa możliwości „triumfu", szczęścia już nie oddzielonego dwoma wiekami od współczesnego pokolenia, ale stojącego przed nim jako zadanie do wykonania, cel walki, walki za wszelką cenę. „Wydaje mi się — przytacza Jermiłow godne uwagi słowa Czechowa — że aby poczuć się wolnym i jednocześnie szczęśliwym, nie należy ukrywać przed sobą, że życie jest okrutne, brutalne i nieubłagane w swoim konserwatyzmie, lecz należy postępować z nim tak, jak na to zasługuje, czyli: być równie brutalnym i nieubłaganym w dążeniu do wolności".

Równolegle z analizą ideologicznej ewolucji pisarza rozpatruje Jermiłow czołowe zagadnienie etyczne, wokół których grupuje się problematyka utworów Czechowa — zagadnienie szczęścia osobistego i roli piękna w życiu człowieka. Pisarz, który jak nikt inny umiał wyrazić ludzką potrzebę i prawo do szczęścia, widział zarazem, iż w społeczeństwie opartym na wyzysku „szczęście" możliwe jest tylko dla ludzi posiadających, „futerał", pozwalający im nie widzieć i nie słyszeć tego, o czym krzyczy niema statystyka. W społeczeństwie takim człowiek uczciwy nie może być szczęśliwy, gdyż „szczęście" oparte jest na pasożytnictwie. Podobnie wartościuje Czechow piękno — jest ono najwyższą wartością ludzką, lecz tylko wtedy gdy nie opiera się na pasożytnictwie, gdy wypływa z pracy i całości postawy moralnej.

Uderza w książce Jermiłowa ogromna serdeczność z jaką mówi autor o Czechowie, wielka miłość do pisarza, zżycie się z nim wyczuwalne na każdej stronicy. Wiele stron poświęca autor sylwetce psychicznej Czechowa, tajemnicy specyficznego czaru, jaki wywierał on na otoczenie. Tylko Rosjanie potrafią mówić tak o swoich pisarzach. Mimowoli przypomina się ów ton wzruszenia i ciepła, z jakim przyjeżdżający do Polski profesorowie radzieccy mówili o Puszkinie, Tołstoju i Czechowie — bez wymienienia nazwisk, poprostu — Aleksander Sergieicz, Lew Mikołajewicz, Anton Pawłowicz, jak o najbliższych, wspólnych przyjaciołach, jak o ludziach żyjących ,osobiście im znanych.

Jermiłow jest urodzonym krytykiem literackim. Książka jego, obok niewątpliwej, ściśle naukowej odkrywczości posiada olbrzymie walory popularyzatorskie oraz ściśle literackie, artystyczne. Może więc liczyć na masowego czytelnika.

Andrzej Walicki

*) *W. Jermiłow — Czechow, 1860 — 1904, P. I. W. 1952.*

ALINA SAWICKA

CHŁOPCY Z CEGIELNI

KSIĄŻKA wybitnego postępowego działacza i pisarza Portugalii Pereiry Gomesa (1909—1949), zatytułowana w polskim przekładzie „Chłopcy z cegielni" *), pokazuje na przykładzie losów chłopców z portugalskiego miasta, zdławionego przez dyktaturę faszyzmu, typowy obraz dzieciństwa w nędzy i upośledzeniu, smutnego dzieciństwa ludzi biednych i wyzyskiwanych. Takich chłopców jak Sagni, Gineto, mały Joao, znaleźć można we wszystkich miastach kapitalistycznego świata. Tak samo zbierają niedopałki na ulicach, latem — żeby żyć — kradną owoce z ogrodów, tak samo marzą o nieosiągalnej szkole, o pracy w „wielkiej fabryce", o boisku sportowym. Autor potrafił prawdziwie i wzruszająco pokazać swoich bohaterów, wzbudzić w czytelniku współczucie dla nich, a zarazem oburzenie, nienawiść do ustroju, w którym dzieci lizbońskich nędzarzy nie mają możliwości zrealizowania swych tak naturalnych pragnień lepszego życia, pasjonującej pracy, nauki. Wcześnie bowiem spada na nie odpowiedzialność za rodzinę żyjącą w nędzy, za umierającą na gruźlicę matkę. Wcześnie muszą stawać do pracy ponad siły. Kilka miesięcy sezonowej roboty w cegielni, to katorga nędznie płatna, wyniszczająca zdrowie. Wyzysk doprowadzony tu został do ostatnich granic; te ośmio- czy jedenastoletnie dzieci nie potrafią się jednak przed nim obronić, bo nawet ta nędzna praca jest w warunkach ogólnego bezrobocia dobrodziejstwem. Kiedy cegielnia jest nieczynna dzieci szukają innych środków do minimum egzystencji: sprzedaż gliny do czyszczenia garnków, żebractwo, często kradzież. Obraz tego smutnego dzieciństwa pod piórem Gomesa nabiera rysów wstrząsającej prawdy. Dlatego słuszna jest uwaga F. Keljina w artykule zamieszczonym w „Literaturze Radzieckiej": *„Podobnie jak całe przodujące społeczeństwo, postępowa literatura domaga się uporczywie, by rozwiązano jedno z najbardziej palących zagadnień naszych czasów — zagadnienie losu milionów nieszczęśliwych dzieci w krajach kapitalistycznych. We wzmagającym się dziś międzynarodowym ruchu w obronie dzieci — tej nadziei ludzkości — książka Pereiry Gomesa, malująca tragedię dzieci w faszystowskiej Portugalii, odegra bez wątpienia pozytywną rolę".*

W książce Gomesa mimo obrazu nędzy i upośledzenia dzieci robotniczego miasta, jest wiele wiary w człowieka. Los małych nędzarzy, poddanych niszczącemu działaniu ustroju, wstrząsa tym mocniej, że autor potrafił pokazać ich wrodzoną dobroć, piękno duchowe, pęd do lepszego, czystego życia, wzajemną szczerą przyjaźń. Gromada chłopców manifestuje na każdym kroku koleżeńską solidarność; w ich współżyciu jest wiele szczerej serdeczności i wzajemnego zaufania. W nędzy, we wspólnej walce o byt kształtuje się szczera, niezachwiana przyjaźń. Podczas pracy w cegielni chłopcy w miarę możności pomagają sobie wzajemnie, chronią słabszych przed karami majstra. Jakże smutny jest obraz rozrywek tej młodzieży, pozbawionej prawa do radości życia — jarmark, gdzie kradnie się słodycze z kramów ludzi również biednych, radosna chwila, gdy można wypić butelkę wina za pieniądze zarobione na skradzionych pomarańczach lub raz na rok pójść do kina, wynosząc wiele niezwykłych przeżyć i złudzeń z cowboyskiego filmu...

Tłem przeżyć młodych bohaterów powieści są robotnicze dzielnice miasta, port nadrzeczny, cegielnia. W życiu ludzi pracy autor potrafił także uchwycić zjawiska najbardziej typowe dla ustroju kapitalistycznego: — ciągłą obawę przed bezrobociem, marzenia o pracy w „wielkiej fabryce", nędzę robotniczej rodziny, redukcje w fabrykach, pogłębiające się bezrobocie rzemieślników. I w tym obrazie na plan pierwszy wysuwa się dobroć, moralna czystość prostego człowieka, gotowego zawsze bezinteresownie dopomóc swoim wyzyskiwanym współtowarzyszom. Powieść Gomesa przynosi nową wersję motywu „ojców i dzieci". Ojców złamał, zgniótł i zniszczył kapitalizm, ale dzieci, pragnące szczęścia i radości życiu, zbuntowane — jeszcze w sposób niezorganizowany — przeciwko ustrojowi, nie pozwolą już na powtórzenie losów rodziców. Skrępowany potwornym naciskiem faszystowskiej cenzury (policja portugalska i tak zresztą otrzymała nakaz zniszczenia książki), Gomes nie mógł zbyt otwarcie wystąpić przeciwko dyktaturze Salazara. Ale *„klucz do zrozumienia koncepcji pisarza* — że przywołamy raz jeszcze ocenę Keljina — *leży w zestawieniu ojców, których złamało życie, którzy ulegli lub zeszli na manowce, z niepokornymi, buntującymi się wyrostkami".* W takim skomponowaniu losów „ojców i dzieci" mieści się zasadniczy sens ideowy utworu Gomesa. Trzeba bowiem wyraźnie zaznaczyć, że chociaż autor dobitnie wskazał, iż nędza „chłopców z cegielni", ich tragiczne dzieciństwo są produktem ustroju kapitalistycznego, to jednak nie mógł dać pełnych perspektyw rewolucyjnej walki z tym ustrojem. Robotnicy, dzieci robotnicze rozumieją, że to właściciele fabryk i cegielni są sprawcami ich nieszczęść, nienawidzą ich, ale nie potrafią jeszcze stanąć do solidarnej walki rewolucyjnej, nawet o niej nie myślą. Autor cofnął się tu jak gdyby przed ostatnim słowem; pozostało tylko oskarżenie. Sami już musimy sobie dopowiedzieć, że tylko wówczas Sagni, Gineto i tysiące innych odnajdą radosne dzieciństwo, gdy zwycięży kierowana przez Partię zorganizowana siła proletariatu, walczącego o lepsze jutro, o szczęśliwe życie dla wszystkich chłopców z cegielni.

Alina Sawicka

*) *Pereira Gomes, Chłopcy z cegielni, „Czytelnik", 1951 r., tłum. z portugalskiego H. Czajka.*

JERZY HERMUT

POWIEŚĆ O SZKOLE SUWOROWCÓW

TEMATYKA młodzieżowa w literaturze radzieckiej jest bogato i wszechstronnie reprezentowana. Wystarczy, gdy zacytujemy tak cenne pozycje, jak: „Poemat pedagogiczny" Makarenki, „Młodą Gwardię" Fadiejewa, „Jak hartowała się stal" Ostrowskiego, „Timura i jego drużynę" Gajdara, czy „Studentów" Trifonowa. Poza tymi książkami — całkowicie poświęconymi sprawom młodzieży, traktującymi młodzież jako swego głównego bohatera — życie młodych zostało odzwierciedlone i w inych utworach poświęconych odmiennym zagadnieniom (tutaj można przypomnieć np. „Daleko od Moskwy" Ażajewa, czy „Żniwa" Nikołajewej). W książkach tych znajdziemy obraz młodzieży radzieckiej ukazanej w toku rewolucji i w procesie budowania nowego ustroju, kształtowania nowego stosunku do społeczeństwa, państwa, własności społecznej, w walce z najeźdźcą hitlerowskim itd. Zainteresowanie sprawami młodzieży u najpoważniejszych pisarzy radzieckich nie jest dziwne, dowodzi bowiem tylko doceniania przez nich ważności tej gałęzi literatury, czego np. niestety nie możemy powiedzieć o naszej współczesnej twórczości literackiej.

Do wymienionych cennych utworów o młodzieży dodać należy jeszcze jeden, mianowicie świeżo opublikowaną przez Wydawnictwo M. O. N.-u książkę **B. Iziumskiego pt. „Purpurowe naramienniki" *).**



Foto — WAF

Jest to opowieść o młodych chłopcach, uczących się w jednej z licznych w ZSRR szkół kadetów, w uczelni im. Suworowa. Czy takie określenie nie sygnalizowałoby jednak zacieśnienia problemu? Raczej tak. „Purpurowe naramienniki" bowiem to nie tylko książka o młodzieży, to również wszechstronny obraz działalności wychowawców; ukazanie zalet i błędów ich pracy nad ukształtowaniem różnorodnych charakterów młodych; przedstawienie środków, przy pomocy których wpaja się wychowankom cechy godne człowieka Kraju Rad, oficera Armii Radzieckiej. Obraz życia, bogato ilustrowany wydarzeniami, dyskusjami, ciekawą i różnorodną galerią typów kadetów i wychowawców, przedstawia czytelnikowi trudności, na jakie napotykają nauczyciele w swej pracy pedagogicznej; zapoznaje z psychiką chłopców w wieku od 12 do 19 lat, z ich pragnieniami, wadami i zaletami. Walka z niejednokrotnie wydawałoby się niemal niemożliwymi do wykorzenienia wadami (nawet tak poważnymi jak złodziejstwo) stanowi poważną część akcji tej książki. Czytelnik widzi, jak zmieniają się charaktery chłopców pod wpływem oddziaływania wychowawców i kolektywu, jak stają się oni ludźmi wartościowymi, zasługującymi na miano suworowców. Ciekawie zarysowana została droga rozwojowa Artioma, Wołodi, Pawlika, Awiłkina; postacie tych chłopców na długo pozostaną w pamięci czytelnika. Obraz życia młodzieży — potraktowany szeroko i wielostronnie — cechuje dynamizm, humor, i tak niezbędne w książkach tego rodzaju, poczucie radości, niepozbawione młodzieńczej beztroski.

Obrazując działalność wychowawców autor nie ograniczył się tylko do jednego czy dwu typów. Obok zwolennika nadmiernej łagodności w działalności wychowawczej — Rusanowa, mamy przeciwstawionego mu w stosowaniu środków pedagogicznych Tutukina i stojących na jeszcze innych pozycjach wychowawczych: Bokanowa, Biesjedę, Garszewa, Wiedienkina. Z przebiegu akcji dowiadujemy się, jak poszczególne metody oddziaływają na chłopców, jakimi metodami należy rozwiązywać nasuwające się zagadnienia wychowawcze. Metody Tutukina i Rusanowa np. nie wytrzymują próby życia, muszą upaść. Postacie wychowawców i wykładowców cechuje w powieści Iziumskiego zapał do pracy, zrozumienie ważności swej roli i odpowiedzialności za wychowanie młodego pokolenia przyszłych oficerów bohaterskiej Armii Czerwonej. Autor jednak nie idealizuje: może się zdarzyć i zły wychowawca (Striepuch), lecz będzie to przypadek. Kontrola pracy szybko wykaże jego niewłaściwe działanie i spowoduje usunięcie.

Spójrzmy teraz na „Purpurowe naramienniki" z pozycji czytelnika, do którego zostały przede wszystkim skierowane, a mianowicie młodzieży. Otóż w lekturze „Purpurowych naramienników" znajdą nasi dorastający chłopcy i dziewczęta nie tylko wiele interesujących wydarzeń, nie tylko zaciekawi ich fabuła i przeżycia bohaterów, ale (i tu leży cel utworu) spotkają się ze swymi rówieśnikami, którzy dostarczą im wzoru postępowania, których postacie nieprędko zostaną przez nich zapomniane. Postacie te, jak już zaznaczyliśmy, to żywe, a nie idealne wzory.

„Purpurowe naramienniki" możemy zaliczyć ze względu na tematykę i jej rozwinięcie do tej kategorii książek, co „Poemat pedagogiczny". Niestety pod względem poziomu artystycznego — książka ta stoi o wiele niżej. Usterki natury formalnej, dotyczące kompozycji utworu, obniżają przede wszystkim jej wartość. Książka Iziumskiego grzeszy zwłaszcza chaotycznością konstrukcji. Tendencja do jak najbardziej szczegółowego obrazu, przy uczynieniu bohaterem książki całej młodzieży i jej wychowawców (nie wydaje się możliwe przyjęcie za głównego bohatera Kowalowa), ujemnie wpłynęła w tym wypadku — przy niezręczności autora — na jasność konstrukcji akcji, na jej przejrzysty rozwój. Wpływa to na fakt, że czytelnik czuje się czasem zagubiony w kolejności przebiegu wydarzeń. Moglibyśmy także mieć pretensje do autora za zbyt szkicowe przedstawienie niektórych postaci (np. Snopkow). Niemniej jednak błędy kompozycji nie potrafiły poważniej zniekształcić obrazu walki o nowego człowieka, obrazu życia suworowców. Książka stanowi zatem ciekawą i cenną pozycję w naszych przekładach z literatury radzieckiej.

Jerzy Hermut

***) B. Iziumski, Purpurowe naramienniki, Wydawnictwo Ministerstwa Obrony Narodowej, 1952.**

HENRYK KOSECKI

W DĄBRÓWCE SŁUPSKIEJ

(Od specjalnego wysłannika)

Powiat szubiński, w lipcu.

W Dąbrówce Słupskiej byłem przed 4 laty, w 1948 r. i kiedy w tych dniach ponownie wybierałem się tam na reportaż, m. in. przypomniały mi się ostatnie 4 czy 5 kilometrów kiepskiej, piaszczystej drogi, prowadzącej od poznańskiej szosy do wioski. Na dodatek kierowca, po przeczytaniu na delegacji miejscowości docelowej, spojrza na mnie dość ponuro. I on z pewnością przypomniał sobie dojazd do Dąbrówki. Ale... pojechaliśmy.

Po niecałej godzinie, gładką jak stół szosą dojechaliśmy do miejsca, w którym kiedyś rozpoczynała się piaszczysta, ciężka droga, prowadząca do wsi Dąbrówka. Skręt w prawo i... Odruchowo wymieniliśmy z kierowcą spojrzenia. Uśmiechnęliśmy się i mile zaskoczeni pojechaliśmy dalej. Przed nami ciągnęła się, wprawdzie znacznie węższa od szosy głównej, ale tak samo gładka droga. Na rozwidleniu zdążyłem jeszcze odczytać tablicę informującą: Do spółdzielni produkcyjnej „Postęp", Dąbrówka Słupska. Rzeczywiście postęp! — pomyślałem.

W zarządzie spółdzielni zastaliśmy tylko księgowego. Przewodniczący był w magazynie, gdzie kończono właśnie rozdzielać pomiędzy członków cukier, otrzymamy ze żnińskiej cukrowni za dostarczone na jesieni buraki.

Teraz, w okresie żniw i omłotów, na wsi tyle jest pracy, że trudno nawet o chwilę rozmowy z przewodniczącym czy innym aktywnym spółdzielcą, trudno zastać kogoś na wsi. No, ale dziś — dzień świąteczny — 22 lipca, więc nikt do pracy nie wychodził. Za chwilę więc mogliśmy już bez pośpiechu, do woli porozmawiać sobie z przewodniczącym Walentym Domagalskim i sekretarzem organizacji partyjnej Stanisławem Grzesiakiem oraz kilkoma członkami spółdzielni.

Wyszliśmy na pole. Gospodarze chcieli pokazać złote łany zbóż. A mieli się czym pochwalić. Grube, ziarniste kłosy dojrzałego już żyta za każdym podmuchem wiatru chyliły się ku ziemi. Jak okiem sięgnąć ciągnęły się spółdzielcze łany. Na lekkim wzniesieniu przystanęliśmy.

— Czas żniwować — rzekłem rozsypując zerwany kłos — na co czekacie?

— Ba, nowinę nam powiedzieliście — uśmiechnęli się wszyscy. — A tam..., o tam, w tyle... — pokazywał dłonią Grzesiak. — Nie widzicie traktorów, żniwiarek.

Rzeczywiście. Daleko, prawie na horyzoncie, wolno sunęły 4 ciemniejsze od złotego tła maszyny. To pracowały 4 traktory i tyleż żniwiarek, które pozostawiały za sobą powiązane już w snopki żyto i najeżone ściernisko. Wiatr, co pewien czas przynosił z oddali gulgot Ursusów, Zetorów i głuchy terkot maszyn żniwnych.

— A mówiliście, że nikt dziś od was w pole nie wyszedł — zwróciłem się do przewodniczącego.

— I miałem rację. To przecież POM-owcy z Kowalewa pomagają nam swymi traktorami i maszynami. Dziś oni, a jutro na nas kolejka. Wszyscy, kto tylko może, wyjdziemy jutro w pole i w kilka godzin mamy mendle postawione.

— No i prawie już po żniwach — dodaje Grzesiak — szybko co? I bez wielkiego wysiłku.



Foto — WAF

Tak, zmieniła się sytuacja. Ileż to pracy i potu, ileż tygodni kosztował kiedyś sprzęt plonów.. A dziś, żniwa w spółdzielni produkcyjnej, gdzie czyni się do nich planowe przygotowania, trwają zaledwie kilka dni. Nikt się morderczo nie napracuje i tam, gdzie dziś żyto stoi jeszcze na pniu — pojutrze kiełkować już będzie ziarno poplonu. Takie jest tempo dzisiejszej socjalistycznej wsi polskiej. Tempo to nie jest jednak równe w każdej spółdzielni produkcyjnej. Decyduje w tym wypadku dobra organizacja pracy.

Spółdzielnia w Dąbrówce pod tym względem może być zaliczona do przodujących w województwie bydgoskim. Praca jest tutaj dobrze podzielona i każdy z członków brygad zna swoje obowiązki. Szczególnie młodzież wykazuje tu dużo zrozumienia dla zadania, jakie przed nią — przyszłością naszej Ojczyzny — stoi. Starsi wcale nie ukrywają, że dumni są ze swej młodzieży.

— Nasze sukcesy, nasz pomyślny rozwój gospodarczy — z dumą mówi Domagalski — to wielka zasługa brygady młodzieżowej. Na takiej brygadzie można polegać.

Brygada młodzieżowa, składająca się z 12 dziewcząt i zaledwie 3 chłopców w niczym nie ustępuje drugiej brygadzie polowej, w której przecież tylu silnych i doświadczonych gospodarzy pracuje. Nie ustępuje w pracy na roli — mam na myśli — bo np. w pracy społecznej, brygada Łapuszyńskiej nie ma konkurencji, nawet w okolicy. Oto przykłady:

W sąsiednich Górkach Zagajnych i Zalesiu powstał Komitet Założycielski spółdzielni — rezultat pracy uświadamiającej brygady Łapuszyńskiej.

W świetlicy spółdzielczej jest zawsze czysto i przyjemnie. W wyznaczonych godzinach można wypożyczyć książkę — rezultat pracy brygady młodzieżowej.

Skup zboża i zobowiązania finansowe zrealizowane zostały w terminie i w 100 proc. — rezultat pracy brygady młodzieżowej.

W świetlicy stoi piec. Na zimę trzeba opału — brygada młodzieżowa wykopie 1,5 tony torfu.

Koło Gospodyń Wiejskich w ostatnim okresie zdrzemnęło się trochę — brygada młodzieżowa przebudziła je wezwaniem do współzawodnictwa w żniwach i omłotach.

Chyba wystarczy. Można by jeszcze podać więcej pięknych przykładów, jak np. ten: norma dniówkowa przy sadzeniu ziemniaków wynosiła 30 arów, a brygada Łapuszyńskiej dla uczczenia Zlotu zasadzała dziennie 50 arów.

Byłem zdumiony dziarską 15-stką, gdy opowiadali mi o niej moi rozmówcy.

— Gdzież jest ta Łapuszyńska, gdzie są ci młodzi — rzekłem, chcąc ich zobaczyć, pomówić z nimi.

— Nie, dziś ich nie zobaczycie — rozłożył ręce przewodniczący — Czesia Jankowska, Renia Majewska, Marysia Łapuszyńska i Jadźka Janowiak, są dziś w Warszawie, na Zlocie. Może właśnie w tej chwili maszerują przed naszym Prezydentem, przed trybuną. Marysia na pewno niesie ten nowy sztandar...

— Jaki sztandar? — przerwałem, pierwsze słysząc, że spółdzielnia posiada sztandar. Ale okazało się, że to nie sztandar spółdzielni niosły w stolicy młode przodownice rodzącej się socjalistycznej wsi pomorskiej, lecz sztandar Polskiego Komitetu Obrońców Pokoju, zdobyty w tym roku przez brygadę młodzieżową z Dąbrówki Słupskiej. Takiego to wyróżnienia doznała za swą pracę brygada Łapuszyńskiej.

Pozostałych członków brygady też nie zastałem w Dąbrówce. Wszyscy pojechali na zlot powiatowy do Szubina. Pojechali nawet ci najmłodsi, którzy chociaż do brygady jeszcze nie należą, bo w szkole oświatę i wiedzę zdobywają — a już spółdzielnia jest z nich dumna. Dobrych będzie miała w przyszłości gospodarzy. Np. Stefek Maciejewski ma dopiero 12 lat, a tylko mu konia dać — każdej robocie sprosta.

Wielu też młodych z Dąbrówki pracuje w miastach w przemyśle, wielu uczy się w szkołach średnich. Kiedy założono spółdzielnię niejednemu spełniły się marzenia. Zastąpiły ich ręce maszyny z POM-u. Zygmunt Rogórzewski i Ryszard Halikowski kształcą się w Bydgoszczy. Już niedługo zdobędą dyplomy techników, a potem... wyższe studia. Bo dziś chłopskie dziecko może zostać inżynierem czy lekarzem.

Pożytku niemało ma Dąbrówka ze swej młodzieży. Ot na przykład ci traktorzyści z POM Kowalewo, którzy pracują w tej chwili na polach spółdzielni, to także synowie Dąbrówki. Marian Wiśniewski jest przodującym traktorzystą POM-u. Na swym Ursusie zamiast 8 ha, kosi dziennie 12 ha zboża, a ponadto wykonuje dziennie 2 ha podorywki. Tak samo Szczepan Chełmiński, który kieruje Zetorem i brygadzista Ignacy Jankowski. Oni, traktorzyści POM-u, obrabiają ziemię swych ojców.

Coraz bliżej słychać gulgot traktorów.. Łan żyta kurczy się w oczach.

— Popatrzcie — zwrócił uwagę Grzesiak — na upartego ich trzech wystarczyłoby, aby przeprowadzić u nas żniwa. A kiedyś, ilu to ludzi potrzeba było do żniw. Co to jednak znaczy spółdzielnia!

Było już dobrze po południu, kiedy trochę wyczerpały się przeróżne tematy naszej rozmowy. Najbardziej jednak w pamięci pozostała mi młodzież Dąbrówki. Ta młodzież jest przecież najlepszą gwarancją jej jasnej przyszłości i pięknych perspektyw. A taka przyszłość — to bliski dobrobyt.

Henryk Kosecki

ANTOŃCZYK I INNI

(Dokończenie ze str. 2)

— Rozejść się natychmiast! — wołał komisarz Miller, nie występował jednak naprzód, krył się wśród otaczających go policjantów.

Dopiero teraz można było zauważyć, że małym osobowym autem przybył również starosta i przez szyby przypatruje się manifestacji. Na stopniach auta stał blady, rozczochrany Walek Wójcicki i machał nabitym rewolwerem na wszystkie strony.

— Chowa się ten pies! — krzyknął ktoś na samym przodzie pochodu.

— Rozejść się, użyjemy broni!

— My chcemy mówić ze starostą. Żądamy wypuszczenia uwięzionych, żądamy zaprzestania rewizji. Jesteśmy obywatelami Polski, albo nie jesteśmy?

— Nie jesteśta, wyśta chamy — wołał rozwścieczony do ostateczności Wójcicki.

— Wybierzcie delegację dziesięciu ludzi, tylko z delegacją będzie pan starosta rozmawiał — oświadczał komisarz i oglądał się, mrugał okiem na starostę.

— Hej, chłopi, dosyć tego trajlowania, wyciągnijmy tego szczura starostę, rzucimy go na klęczki przed sobą!... — Kostek wyskoczył z pochodu, chwiejąc pałą, krzyczał, namawiał ludzi, by biegli za nim.

— Stać na miłość boską, bo strzelam! — wrzeszczał komisarz i skoczył naraz, nachylił się ku drzwiczkom osobowego auta.

Antończyk, choć drżały mu nogi, biegł wraz z innymi, schylał się, rzucał kamieniami i krzyczał, złorzeczył staroście. Salwa karabinowa, którą usłyszał, oszołomiła go na sekundę, wtedy zatrzymał się, popatrzył za siebie. Ludzie uciekali, padali w rowy, na ścierniska i rolę. Ktoś jęczał, ktoś płakał rozdzierająco jak dziecko. Odwrócił głowę i ujrzał, że stoi w odległości dziesięciu kroków od auta, prawie u jego stóp leżał Kostek, oczy miał już martwe, rozchełstana lniana koszula na piersi naciekała krwią czerwoną, straszliwie świeżą, dłonie ściskały coś, lecz już nie zdołały się zamknąć, tak zostały.

— Łotry, jak mogliście, 19 lat było chłopakowi!... — krzyknął unosząc pięść i zatrząsł się od bólu i rozrywającego gniewu. Nie zdołał jednak ujść nawet trzech kroków, trafiony kulą Wójcickiego, schylił się, zgiął jak złamany pęd rośliny, upadł najpierw na kolana, potem na twarz, przywarł bezwładnym ciałem do ziemi.

✻

Na uroczystość żałobną przybył pan poseł ludowy adwokat Magdziarz i czarno ubrany, z wyrazem boleści na twarzy, pierwszy przemawiał nad grobem zabitych. Tym razem odniósł pełny sukces, przemawiał wstrząsająco, stwierdził to nawet ksiądz proboszcz z Przecznicy. Powołując się na swoją przyjaźń od lat z Antończykiem, opisał w pięknych zdaniach ciężki żywot zmarłego, tułaczkę za młodu po Prusach i Westfalii, tułaczkę trzyletnią we Francji w latach trzydziestych i to umiłowanie ojczystej ziemi, które kazało mu porzucić wszystko, wrócić do ukochanego kraju. Nie zapomniał ukochanego Ostrówka! Nie zapomniał krasomówca również o Kostku, wzywając cień Żeromskiego na świadka, wołał, że obok chłopa zginał bezrolny bandos, parobek, któremu za ubranie służyło słońce, a za posłanie słoma i polne ziele...

Kobiety płakały, nawet mężczyźni byli poruszeni, toteż Magdziarz smakując wielki swój sukces, wrócił w zupełnie radosnym nastroju do miasta i jeszcze tego wieczora przyjmował wódką tułającego się jeszcze po okolicy dziennikarza Potoczka.

— Pogrzeb był ekstra, nadzwyczajny — oświadczał już po raz wtóry Potoczek. — No i ta mowa pana... Ach, jak chciałoby się, by pan ją jeszcze uskrzydlił i zakończył tą cudną strofą Słowackiego.

Magdziarz poczuł smakowity kęsek dla swego oratorstwa i szczerze zainteresował się cytowaną poezją.

— Pogrzeb kapitana Mayznera, pan mówisz? — pytał.

— Właśnie. Nie czujecie, państwo, jaki to urzekający patos!

— Podyktuj pan, zapiszę sobie — powiedział Magdziarz i wyjął już notes podręczny z kieszeni.

Wtedy to właśnie Potoczek podyktował adwokatowi ostatnią strofę Pogrzebu Kapitana Mayznera:

„Ale Ty, Boże! który
z wysokości
Strzały swe rzucasz na kraju
obrońce,
Błagamy ciebie przez tę garstkę
kości.
Zapal przynajmniej przez śmierć
naszą — słońce!
Niechaj dzień wyjdzie z jasnej
niebios bramy,
Niechaj nas przecie widzą —
gdy konamy!"

Stanisław Piętak

ZBIGNIEW NOWICKI

KUŁAK MUSI BYĆ GRUBY

NIEDAWNO zetknąłem się w terenie z jednym ze starszych literatów.

Zebranie gromadzkie w Makolicach, do których obydwaj przyjechaliśmy odbywało się w jednej z klas miejscowej szkoły podstawowej. Na ogół wszyscy chłopi zabierający głos na zebraniu zgadzali się że dekret w sprawie skupu mleka nie nakłada na nich ciężarów, że potrafią wywiązać się ze swych obowiązków, ba, niektórzy mówili nawet, że wykonają obowiązek ze znaczną nadwyżką, bowiem do chwili ukazania się dekretu odstawiali do mleczarni znacznie więcej mleka niż teraz na nich przypada. Ale w wypowiedziach uderzało jedno: gotowość wykonania obowiązku warunkowali ukróceniem machinacji miejscowego kułaka Białka, którego wszyscy w wiosce mieli już powyżej uszu.

Kułak Białek — jak mówili chłopi — wykręcił się z planowego skupu zboża, ponieważ spaliła mu się sterta żyta. Nie dowiedziono Białkowi, że to on ją podpalił, nie dowiedziono mu także, czy w stercie istotnie spaliło mu się żyto, a nie żytnia słoma. I Białkowi udało się oszukać państwo. Podobnie było z obowiązkową odstawą żywca. Białek przyniósł do Prezydium GRN świadectwo weterynarza, że prosiaki zdechły mu na czerwonkę i uzyskał odroczenie na odstawę tuczników. A w tym samym czasie — twierdzili chłopi — do spekulanta w powiatowym miasteczku dostarczył Białek cztery tuczniki o przypuszczalnej wadze 150 kg każdy.

Siedzący obok mnie i literata sekretarz KG PZPR szepnął nam, że Białek obecny jest na zebraniu.

Przebiegliśmy spojrzeniem twarze chłopskie i obydwaj zatrzymaliśmy oczy na czerwonych, nalanych tłuszczem policzkach tęgiego mężczyzny, rozpierającego się w pierwszej ławce. Miał on duży brzuch, który z trudem wtłoczył w ciasne miejsce między pulpitem a oparciem. Twarz jego marszczyła się od gniewu, dłonie zaciskały się w pięści, ciężkie i duże jak młoty kowalskie. Kiedy słuchał oskarżeń chłopskich, na czoło występowały mu kropelki potu, szczęki drżały jakby od hamowanej złości. A jednak z oczu jego biła wielka pewność siebie. Niekiedy podrywał pięści z nad ławki i zdawało się — groził nimi mówiącym.

W milczeniu porozumiałem się wzrokiem z literatem. I wtedy właśnie z ostatniej ławki poderwał się drobny, chudy mężczyzna o załzawionych, kaprawych oczkach.

— Niesłusznie, obywatele - towarzysze — począł wołać płaczliwym głosem. — Niesłusznie oskarżacie mnie o takie zbrodnie. Bóg mnie doświadczył, spaliła mi się sterta i prosięta zdechły, wierzcie mi na Boga.

Białek skamlał jak szczenię i wreszcie rozpłakał się głośno. Był to prawdopodobnie jego stary, wypróbowany wybieg.

Trąciłem łokciem sekretarza KG i wskazałem mu palcem grubego chłopa z pierwszej ławki.

— Ten? — zdziwił się sekretarz. — To średniak, Feliksiak. Białek oszukał go ostatnio przy kontraktacji owoców...

×

W miesiąc później przeczytałem w tygodniku literackim opowiadanie o kułaku, który podpalił stertę ze słomą, aby wykręcić się z planowego skupu zboża, a następnie przekupił weterynarza, by wydał mu świadectwo o padnięciu prosiaków na czerwonkę. Kułak ten był gruby, miał czerwoną, nalaną tłuszczem twarz, jego wielki brzuch ledwie mieścił się w ciasnej ławce szkolnej. Słuchając oskarżeń chłopów z oczu biła mu ogromna pewność siebie, z gniewem marszczył twarz i zaciskał pięści w hamowanej złości.

Sprawdziłem podpis pod opowiadaniem. Tak, był to właśnie znajomy mi literat.

Zadzwoniłem do niego, zdziwiony zmianami zauważonymi w treści opowiadania.

— Ach, wy, dziennikarze — w słuchawce zachrobotał jego śmiech. — Jesteście niepoprawnymi autentystami. Musiałem przecież przerobić tego kułaka. On powinien być t y p o w y.

Zbigniew Nowicki

Kronika radziecka

BOHATEROWIE WYRASTAJĄ Z LUDU

„PISARZ powinien wiedzieć tak dużo, że aż strach pomyśleć. Powinien wszystko rozumieć! Powinien pracować jak wół i nie uganiać się za sławą! Tak! Otóż to właśnie! Jedno mogę panu powiedzieć — niech pan idzie do wiejskich chałup, na jarmarki, do fabryk, do domów noclegowych. Niech pan obejrzy wszystko, co się tylko da — teatry, szpitale, kopalnie i więzienia. Tak! Wszystko! Żeby życie przepoiło pana jak spirytus walerianę! Żeby z tego wyszła prawdziwa tinktura. Wiedy będzie pan mógł ją ludziom dawać jak cudotwórczy balsam".

Te słowa wypowiada w książce Konstantego Paustowskiego pt. „Dalekie lata" jeden z licznych bohaterów, wziętych z życia, aptekarz wiejski Łazarz Borysowicz. Dziś „wyznanie sztuki" złożone przez Łazarza nie brzmi rewolucyjnie. Zżyliśmy się z tym, że literatura powstaje nie przy biurku, lecz że tak powiem, w ogniu życia. Przywykliśmy mierzyć wartość beletrystycznych postaci ich życiową prawdziwością. Ale wiedy przed pierwszą wojną światową — czas akcji „Dalekich lat" — program literacki Paustowskiego był równie odkrywczy jak wędrówki po Rosji Gorkiego w poszukiwaniu nowych bohaterów z ludu.

W zakończeniu „Dalekich lat" i w odpowiedzi na apel skromnego wiejskiego aptekarza Paustowski pisze:

„...Poszedłem między ludzi, do swej szkoły życia, której nie zastąpią żadne książki ani oderwane rozmyślania".

Należy zwrócić uwagę na taki rodowód twórczości Konstantego Paustowskiego w związku z 60 rocznicą (1892—1952) jego urodzin. Z bogatej „szkoły życia", ze znajomości ludzi i historii Rosji powstały „Dalekie lata", „Mieszczorski kraj", „Kolchida", „Kara-Bugaz", „Opowieść o lasach" i liczne mistrzowskie opowiadania.

Niedawno ukazał się u nas „Wybór utworów" Konstantego Paustowskiego, ukazujący nie tylko galerię barwnie odtworzonych postaci, ale i reprezentujący wysoką szkołę rzemiosła nowelistycznego. Paustowski — mistrz opowiadań — należy do najlepszych nowelistów rosyjskich jak — Turgieniew, Lew Tołstoj, Czechow, Korolenko, Garszin, Kuprin i inni.

Źródła tej sztuki tkwią całkowicie w życiu, w poznawaniu dążeń i charakterów bohaterów z ludu.

W posłowiu do wspomnianego wyboru opowiadań czytamy: „Zaraz na początku swej kariery autorskiej Paustowski, jak sam przyznaje, przekonał się, że ma za mało doświadczenia życiowego i znajomości ludzi. Przestał tedy pisać i wszedł w życie „między ludzi", zaczął świadomie zmieniać zawody i wędrować po Rosji. Był kierowcą i konduktorem tramwajowym w Moskwie, sanitariuszem, robotnikiem w zakładach Gustawa Lista w Moskwie, w briańskiej fabryce w dawnym Jekatierynosławiu, w noworosyjskich zakładach przemysłowych w Juzowce (obecnie Stalino), w fabryce kotłów New-Wilde'a w Taganrogu; pracował w charakterze pomocnika w rybackim artelu na Pietruszinowskiej Mierzei (Morze Azowskie), pływał jako marynarz, był wykładowcą literatury rosyjskiej w gimnazjum, wreszcie przeszedł całą drogę dziennikarską od reportera do redaktora gazety". Dodajmy do tego wykazu pracowitego życia bezpośredni udział w wojnie domowej i w ostatniej wojnie ojczyźnianej.

Zmieniając zawód Paustowski obiera zawsze inny teren. W ten sposób poznaje rozległe przestrzenie Związku Radzieckiego. Objeżdża wybrzeża Morza Kaspijskiego, Embę, Dagestan, Kaukaz, Armenię, Murmańsk, Karelię, Kolchidę, Krym, Północny Ural, Kraj Mieszczorski, Północną Rosję i Ukrainę.

Związek Pisarzy Radzieckich uczcił zasługi Paustowskiego specjalną akademią z okazji 60-cia urodzin znakomitego pisarza. Literaci radzieccy wskazywali na rozległą drogę życiową i związane z tym osiągnięcia twórcze autora „Kolchidy". „Utalentowane książki Paustowskiego, traktujące o ludziach przeobrażających przyrodę— głosiła rezolucja — „Kara-Bugaz", „Kolchida", „Opowieść o lasach" zajmują wybitne miejsce w naszej literaturze i cieszą się miłością milionów radzieckich czytelników. Paustowski jako jeden z pierwszych radzieckich pisarzy stworzył dzieło o wielkich budowlach komunizmu powieść pt. „Narodziny morza".

Doświadczenia życiowe i osiągnięcia twórcze Paustowskiego mogą być wzorem dla pisarzy krajów demokracji ludowej. Odpowiadają na pytanie, postawione u nas przez ostatnie Plenum Związku Literatów: jak powinien pracować pisarz, jak powinien wiązać się z życiem?

×

BOHATER wyrasta z ludu, lecz zainteresowania czytelników nie kończą się przecież z ostatnią kartą powieści, ukazującej rzeczywistych ludzi. Czytelnicy chcą wiedzieć, co dzieje się dalej z bohaterem.

Po części zaspakaja to pytanie 28 numer tygodnika „Ogoniok". pisząc o bohaterach powieści Borysa Polewoja pt. „Opowieść o prawdziwym człowieku".

Sam Mieresjew (w życiu: Maresjew), wiejskie dzieci, które odnalazły bohaterskiego lotnika, dziadek Michajło, gospodarz-kołchoźnik, u którego ranny odnalazł przytułek, babka Wasylisa, dziewczyna Waria, chirurg, komisarz — wszyscy to żywi ludzie.

Cóż ci bohaterowie robią teraz? Jak żyje i czym się zajmuje sam Maresjew?

Po wyjściu ze szpitala Maresjew brał udział w dziesiątkach powietrznych walk. W pierwszej bitwie w czerwcu 1943 strącił dwa faszystowskie samoloty typu „Ju-87". Dalsze walki przynosiły nowe sukcesy. Brak amputowanych nóg w niczym nie osłabił bojowego ducha lotnika. Państwo obdarzyło go tytułem Bohatera Związku Radzieckiego.

Lotnictwu poświęcił się Maresjew i po wojnie. Pracował w inspektoracie powietrznych sił zbrojnych jako wykładowca i instruktor. W r. 1949 Maresjew podał się do dymisji w randze majora i zapisał się jako słuchacz do wyższej szkoły partyjnej przy CK WKP(b). W obecnej chwili — informuje „Ogoniok" — nasz bohater zdaje egzaminy.

Maresjew intensywnie zajmuje się sportem. Zimą — łyżwy, narty (mimo amputowania nóg — na protezach!). Latem — tenis, pływanie, jazda autem. Mieszka on w Moskwie przy ul. Gorkiego. Jest żonaty, ma 6-letniego chłopca. Wolne dni spędza z rodziną na podmoskiewskim letnisku.

Maresjew otrzymał dotąd od czytelników ponad 20 tysięcy listów. Adres ich brzmi lakonicznie: Moskwa, prawdziwemu radzieckiemu człowiekowi, Maresjewowi. W listach wielbiciele bohaterskiego lotnika opowiadają o swoich kłopotach i sukcesach w pracy. Piszą też czytelnicy z zagranicy. Z Chin, z Korei, z Francji, NRD i Włoch przychodzą listy potwierdzające wolę prostych ludzi utrzymania pokoju. Gdy Maresjew, bohater Związku Radzieckiego był w Paryżu, napotkał na pochód inwalidów ostatniej wojny. Ludzie bez nóg, o protezach lub na szczudłach wołali: „Pamiętamy bohaterów Stalingradu, którzy uratowali przyszłość Paryża. Nasze pokolenie nigdy nie będzie walczyło ze Związkiem"!

Maresjew żyje wśród nas. Należy do tych postaci, które wydźwignęła z życia literatura. Ale wielkość przedstawionej postaci przesłoniła dzieło literackie. Bohater, który wyrósł z ludu — napowrót wstąpił w lud jeszcze mocniejszy i piękniejszy.

×

BIBLIOTEKA w kołchozie" — pod takim tytułem „Litieraturnaja Gazieta" nr 77 ogłasza interesujące uwagi odnośnie czytelnictwa w kołchozach.

Wytyczne dla założenia bibliotek na wsi dał jeszcze Lenin w r. 1921, uważając wskaźnik czytelnictwa za świadectwo kultury mas. Założenie sieci bibliotecznej na wsi w koncepcji Lenina miało stanowić przewodnik politycznego wychowania, podobnie jak kino.

Wiele lat upłynęło od tego czasu. Wiele historycznych przeobrażeń zaszło na dawnej patriarchalnej i zacofanej rosyjskiej wsi. Wyrosły kołchozy i agromiasta o przodującej technice i oświacie. Pojawiły się biblioteki wyposażone w naukowe i beletrystyczne dzieła. Kołchoźnik zaczął czytać, wyrównywać starą przepaść między wsią a miastem. Sprawdziły się w pełni słowa Stalina: „Chcemy ze wszystkich robotników i chłopów zrobić ludzi kulturalnych i wykształconych. Z czasem dopniemy tego".

Biblioteki kołchoźnicze odgrywały ogromną rolę w zakresie podnoszenia poziomu kulturalnego wielomilionowych czytelników. Intensywny rozwój tej sieci czytelniczej przypada na ostatnie lata. Biblioteki kołchoźnicze uzupełniają państwowe biblioteki wiejskie i rejonowe, ale powstają wyłącznie z woli czytelniczego kolektywu.

„Z każdym rokiem — pisze „Litieraturnaja Gazieta" — rośnie ilość kołchoźniczych bibliotek, powstałych z inicjatywy pracującego chłopstwa. Np. w rejonie Omska wszystkie bez wyjątku kołchozy mają własne biblioteki z inwentarzem, liczącym prawie pół miliona książek. W 70 bibliotekach wszyscy dorośli i cała młodzież kołchozowa czyta. Prawie trzysta bibliotek kołchoźniczych liczy rejon Woroneżski. Duża ilość powstała też w rejonach Rostów i Wołogda".

Kołchoźnicza biblioteka pomyślana została inaczej aniżeli państwowa rejonowa. Zakłada się ją z funduszów własnych, jest więc ona wyrazem zainteresowań czytelniczych. Praca w takiej bibliotece jest bezpłatna, wykonywana kolejno i ochotniczo przez miłośników książki. Bibliotekom pomaga aktyw miejscowej inteligencji: nauczyciele, lekarze, agronomowie, zootechnicy.

A więc w koncepcji radzieckiej— biblioteka kołchoźnicza stanowi środek rozbudzenia czytelniczo-kulturalnego danego środowiska. Bibliotekarz pracuje w oparciu o kolektyw. Zacieśnienie tej więzi służą liczne dyskusje i pogadanki na temat przeczytanych dzieł. Troska o książkę staje się więc sprawą ogółu.

Grzegorz Timofiejew

Gazetka gminna

JAN BOLESŁAW OŻÓG

A FAKTURY ZJADŁY SZCZURY

Aktyw wiejski w Niedojdówce
zebrał się na sołtysówce:

— Abośmy to jacy tacy?
Kumotrowie i kułacy!

Gniotą dziady nas bez kresu,
Przystąpimy do GS-u!

Przystąpili, „udział" dali
I kierownika wybrali.

Głosy padły na Nowaka,
Na kumotra i kułaka.

Szczepan-kumpel. Szczepan Nowak
wspomoże nas tak czy owak.

I wspomagał — oczywiście!
Jak przystało kanceliście,

Swata wziął za sklepikarza,
a sklepikarz — to się zdarza —

Nie gardzi flaszką „czyściuchy",
Nie skrzywdzi, kumie i muchy:

— Mościewy, nie da rady,
Wszystko by zabrały dziady!

— Tak! Daj, Franuś, mi tę bronę,
Przecież-em swój, co? Zrobione!..

I co „zrobi", to z bogaczem,
a biedniak odchodzi z płaczem.

Dostał sklep dwie tony mąki,
Biegną w lot przywłoki Bąki.

Lecz już tonę wziął kierownik,
A drugą kułak Borownik.

Odgrażają się biedniacy
— Albośmy to jacy tacy?!

No, no, kiedy przyjdzie kreton,
dostaną na mur, na beton!..

Przyszedł, owszem, lecz cóż z tego?
Wsiąkł gdzieś, i dobrze go strzegą.

A żona kułaka Pieli
w świeżej sukni — przy niedzieli.

Tak to ustawicznie wsiąka:
Nafta, cukier, gwoździe, mąka.

Dla kumotra i sąsiada
I kasza i marmelada,

A dla biedniaka do zgonu,
Nie ma kłaczka makaronu.

Żeby soli ze sześć garstek
I choć igła lub naparstek!...

Nie, nie! Nie ma! Darmo czeka,
Darmo przylazł dziad z daleka.

Aż raz — doszliście do kresu —
Wpadł lustrator do GS-u.

— Pan kierownik? Dzieńdoberek.
Jak interes? — Jak szaberek!

— O to świetnie. A gdzie księga?
Zdrachnął się, mina nietęga,

Co tu gadać, zbladł kierownik:
Draka! Co chce ten plądrownik!

A „plądrownik" księgi czyta.
Czyta, czyta, w końcu pyta:

— Proszę pana, gdzie faktury?
— A to, to... wyjadły szczury!

— Przyjm pan dobrze moje słowo:
Stwierdzam stratę bilansową.

Mam tu głowę całą chorą
Sto tysięcy niedoboru!

— Sto tysięcy? Ta to szczury!
Patrz pan, pod podłogą dziury.

— Słusznie, słusznie, panie Nowak,
To jest prawda, tak czy owak.

Wkradły się za ludzką łaską.
Lecz te szczury już w potrzasku!

*

Wieźli ich o gębach trupich
Aż do zamku... Montelupich.

Będą sobie „siedzieć"... w mieście
W sumie lat chyba ze dwieście.

Zaraza w Niwie

Niech się dowie nasza Gazetka Gminna, że my chłopi z gromady Niwa pod Olkuszem wystąpiliśmy ostatnio jako miłośnicy lasów państwowych i obrońcy miejscowej szkoły.

A zaczęło się od tego, że nasz leśniczy ob. Leon Głowacz, człowiek podobno uczony, przerzucił się na handel. Temu sprzedał furkę drzewa na opał, tamtemu „przydzielił" okrąglaków na budowę ganku, owemu chrustu i podściółki. Profit z tego miał niezgorszy, a i sławę „prawdziwego dobroczyńcy" pośród co bogatszych chłopów.

Wychodziło jednak na to, że prędzej wyłysieją nasze niewielkie lasy w okolicy niż sam pan leśniczy. Ale nikt z gromady sprawy tej nie podnosił, zapewne i dlatego, że „opatrznościowy" Głowacz wciągnął w tę spółkę do handlu drzewem z najbliższą okolicą nawet samego sołtysa ob. Pańczyka.

Ale — jak wiadomo — bardzo często u szczytu sławy zaczyna się jej upadek. Trafiła kosa na kamień, pan Głowacz na naszą nauczycielkę — ob. Zofię Zabitowską. Ta nie tylko, że do spółki nie weszła, ale zorganizowała kobiety do walki o całość państwowego lasu. Nasze żony hodowały drób w ramach Koła Gospodyń Wiejskich, ale z ramienia Ligi Kobiet gromiły złodziei drzewa.

Ruszyli na to głowami dwaj szefowie — leśniczy i sołtys. Zorganizowała Zabitowska dożywianie dzieci w szkole, to oni buch zaraz pismo do GRN, że kucharka ma anginę. Zaczęły wreszcie nasze kobiety kąpać w dziecińcu dzieciaki — a oni dalej z pismem do PRN, że kierowniczka zaraz po wykąpaniu brudasów, gotuje w wanience kompot.

Nam chłopom bardzo się nawet ta wojna podobała. Przyszedł człowiek z pola, było wieczorem o czym pogadać. I tak przyglądaliśmy się aż do żniw. Nauczycielka wyjechała na wakacyjny kurs, ludzie wyszli na pole. A spółka? Ta dopiero zabrała się do roboty. Ani się człowiek obejrzał, jak zjechała do wsi komisja sanitarna badać zarazki w wodzie ze stawu, którą podobno karmiła nasza nauczycielka dzieci. Głowacz skacze koło przybyłych, częstuje, zaprasza, a my widzimy, że dzieci nasze zdrowe jak rydze, przy żniwach pomagają, aż się serce starym raduje.

Ale komisja dzieci nie oglądała, i nie bardzo dawała wiarę temu, że prawdziwa zaraza we wsi to właśnie Głowacz. Wychodzi na to, że mogą nam nauczycielkę przenieść gdzieś w powiat. A my nie chcemy oddać takiego człowieka proponujemy więc wysłanie Głowacza za siódmą rzekę.

Droga Redakcjo „Wsi" zdecydowaliśmy się po raz pierwszy napisać list w imieniu większej części gromady, bo jak słychać, prasa na takie kłopoty bardzo pomaga. A jak się coś w naszym liście nie składa, to darujcie. Za wszystkich podpisał:

Jerzy Hłond

Najmłodszy hodowca

Oto wzruszający list napisany przez uczenicę IV klasy szkoły podstawowej. Wzruszający przez to, że pokazuje, jak na dalekiej od nas wsi, w świadomości wiejskiej dziewczyny, jeszcze prawie dziecka, dokonuje się przełom. Przełom polegający na podjęciu konkretnego i ważnego zadania społecznego — po raz pierwszy w życiu! Mamy tu do czynienia z najmłodszym chyba w kraju hodowcą! Ale nie chodzi nam jednak o to tylko, że „Misio" dojdzie 100 czy 150 kg wagi.

Przykład Natalii Jarosz wskazuje na ukryte rezerwy aktywności gospodarczej pośród młodzieży w wieku przed-zetempowskim. I tego kapitału nie powinni marnować nauczyciele z tysięcy szkół rozrzuconych po gromadach.

Droga Redakcjo!

Postanowiłam zakontraktować na rok 1952 jednego tucznika.

Chodzę do szkoły i czeka mnie końcowy egzamin, ale ja też chcę się przyczynić do wykonania Planu 6-letniego. Uczę się nieźle i za to rodzice podarowali mi prosiaczka. Jest on jeszcze zbyt mały ale mi wyrośnie, więc zakontraktuję go. Wierzę, że takich, jak ja, jest coraz więcej, którzy pragną przyczynić się do wcześniejszego wykonania Planu 6-letniego. Gdy już zakontraktuję go wtedy napiszę jeszcze jeden list. Chcę aby wszyscy moi koledzy i koleżanki też kontraktowali prosięta. Ja jestem w domu sama z rodzicami i bardzo lubię się bawić, a nie mam z kim, to bawię się z moim malutkim „Misiem". Tak się nazywa mój prosiaczek. Wszystkie koleżanki i koledzy stańcie ze mną do współzawodnictwa.

Jarosz Natalia
Podwisk, pow. Chełmno,
woj. bydgoskie

Niedowiarek

ZDARZA się jeszcze wśród chłopów często taki, który zanim w coś uwierzy, to wpierw 10 razy obejrzy, a i tak w końcu nie bardzo dowierza. Musi— rozmyśla taki chłopek-roztropek — być w tym jakieś oszukaństwo, skoro wszystko właśnie akurat tak jak potrzeba się składa.

Do tego gatunku należy Stanisław Jelonek z grom. Wólka Łasiecka, gm. Bolimów, pow. Łowicz. Jelonek — a jakże na wycieczkę do Gdańska z chłopami się wybrał. Ale nie po to, aby się tamtejszym spółdzielniom przyjrzeć i czegoś nowego od spółdzielców się nauczyć, ale po to, aby, jak to mówią — znaleźć dziurę w całym.

Kiedy członkowie spółdzielni produkcyjnej „Przyszłość" w Gnojewie, powiat Malbork, pokazywali wycieczce chłopów z województwa łódzkiego swój zasobny, pomimo wiosny, śpichlerz — Jelonek najgorliwiej z wszystkich oglądał sterty zboża. Kiedy przedstawili im bilans roczny i dniówkę obrachunkową, wynoszącą 30 złotych 86 groszy, kiedy przedstawili im wysokość plonów 26 kwintali pszenicy i 41 kwintali jęczmienia ozimego z jednego hektara — Jelonek z krzywym uśmieszkiem sprawdzał księgi buchalteryjne i obliczał razem z księgowym, dopatrując się i w tym jakiegoś szachrajstwa. Kiedy spółdzielcy oprowadzali ich po swoich oborach i chlewni — Jelonek najdłużej ze wszystkich obmacywał krowom wymiona i świnie po pośladkach szczypał, aby sprawdzić czy naprawdę sadło, a nie watę na sobie mają, jak mu to ktoś przed wyjazdem mówił. Wszystkiego dotknął, wszystko sprawdził, omal że nie polizał — i pomimo tego ciągle swoim długim nosem kręcił.

— Uważajcie no, Jelonek, bo nos wam się całkiem obrusza i do świńskiego koryta wpadnie. A tam go prosiaki raz dwa zechlają — pokpiwali chłopi. — Czego to nim tak kręcicie?

— A bo tu widzę na jawie rzeczy nie z tego świata... — kręcił głową Jelonek. — Maciory, nie przymierzając prawie jak krowy, a gadają, że pszenica im sypie 26, a jęczmień 41 z hektara. A czemu to u mnie tak nie sypie, chociaż ze mnie gospodarz tęgi?

— Bo raz, że ziemię macie pewnie trochę gorszą, a co ważniejsze, po staremu wciąż, indywidualnie gospodarzycie i spółdzielczej gospodarki nie uznajecie. Ot, co — wmieszał się do rozmowy Władysław Jagła, spółdzielca z Gnojewa.

Jelonek wysłuchał z chytrą miną, potem odciągnął go na bok i szeptem:

— Ale do mieszkania, to byście mnie nie zaprowadzili, co?

— Dlaczegóżby nie? — zdumiał się spółdzielca. — Chodźcie, to was jeszcze kobieta czymś poczęstuje.

Poszli. Jelonek i tu wszystko po swojemu spenetrował. Nie znalazł jednak nic, do czego by się przyczepić można. Tym bardziej więc nie dowierzał.

— Tam na dworze przy wszystkich — powiada do spółdzielcy — mówiliście, co wam kazali. A tu mi teraz pod sekretem powiedzcie jak to jest naprawdę w waszej spółdzielni. Nie bójcie się, już ja was nikomu nie wydam.

— Ano, sami przecież widzieliście jak jest — odparł tamten urażony nieco tą Jelonkową „chytrością". — Ale jeśli chcecie więcej, to słuchajcie. Jakem szedł do spółdzielni, tom miał jedną krowinę i portki jak sito. A teraz, po trzech latach spółdzielczej gospodarki mam na swojej działce dwie krowy, trzy świnie, pięć owiec, sto kur. Za samo mleko od swych krów w mleczarni miesiąc w miesiąc do ośmiuset złotych zgarniam. W ciągu dwóch lat kupiłem sobie radio i cztery garnitury a w zeszłym tygodniu bryczesy i oficerki. Tak to jest w naszej spółdzielni.

Ale Jelonek, jak to on — nie uwierzy póki palcem nie dotknie.

— Wszystko to — powiada — pięknie. Ale jeśli to wasze, a nie pożyczone, to powinniście mieć chyba rachunki ze sklepu?

Jagła tylko głową nad nim pokiwał, ale z szuflady wyciągnął poskładane w czworo papierki. Jelonek rozwijał je po kolei. Rzeczywiście. Zgadza się co do joty. Jest rachunek i za radio i za garnitury i za bryczesy. Oddał więc papierki z powrotem, spojrzał zezem na piękne oficerki i wyszedł z niewyraźną miną, skrobiąc się za uchem.

Jego wiara we własną gospodarkę zaczynała się chwiać. Ale mimo wszystko — nie dowierzał. Bo może to rząd dał Jagle te buty i garnitury by chłopów omamić?

Tadeusz Słupecki

Zawiadamiamy wszystkich prenumeratorów naszego pisma, że począwszy od m-ca stycznia br. urzędy pocztowe oraz listonosze wiejscy i miejscy przyjmują wpłaty na prenumeratę w terminie do dnia 15-go każdego miesiąca na miesiąc następny i okresy

Redaktor naczelny — JAN ALEKSANDER KRÓL

Redaguje Komitet

Adres administracji: Warszawa, ul. Wiejska nr 12, tel. 7-52-50. Adres redakcji: Warszawa, ul. Starynkiewicza nr 7.

Tel.: Red. Nacz. 727-86. Tel.: Redakcji 751 80 dod. wewnętrzny 91, 63

Warunki prenumeraty:

miesięcznie — 3 zł, kwartalnie — 9 zł, półrocznie — 18 zł, rocznie — 36 zł. Zamówienia i wpłaty na prenumeratę przyjmują wszystkie urzędy pocztowe oraz listonosze.

RSW „PRASA", Warszawa, Marszałkowska 3/5. 3-B-24215

EDWARD SZUSTER

Rozmowa

SPOTKALIŚMY się w Radzie Oddziałowej Zajezdni i Warsztatów Tramwajowych w Łodzi, by pogrzebać w przeszłości i przypomnieć strajk łódzkich tramwajarzy z roku 1932. Towarzysze Łuczak i Żyłka byli nie tylko uczestnikami tego strajku, byli jego kierownikami, gdyż obaj wchodzili w skład ścisłego komitetu KPP, który prowadził akcję poprzez komisję strajkową. Towarzysz Łuczak jest dziś przewodniczącym Rady Oddziałowej i on to właśnie zaproponował mnie — ciekawemu informacji i szczegółów pisarzowi — oraz Żyłce, który już nie jest tramwajarzem, bo przesunięto go do innej roboty, byśmy się w Radzie spotkali. I kto wie, czy to właśnie nie dlatego, że rozmowa nasza toczyła się w lokalu związkowym, zaczęliśmy od omawiania spraw związkowych sprzed laty.

Mówiliśmy o związkach nie dlatego, że siedzieliśmy w gabinecie Łuczaka a dlatego po prostu, że sytuacja związkowa w czasie strajku była szczególnie zawiła i znamienna dla przebiegu akcji. Było wtedy tych związków aż trzy, ale każdy z nich cierpiał na tą samą chorobę — na brak członków. Nie wierzyli tramwajarze ani prawicowym pepesowcom, prowadzącym związek klasowy, ani chadekom ze związku „Praca", ani też świeżo narodzonemu związkowi sanacyjnemu. Starczyło w tych związkach ludzi do zarządów, ale na członków nie starczało. Więc też kiedy wybuchł strajk i trzeba było wybrać kierownictwo akcji, tramwajarze wybrali taką komisję strajkową, do której zarządy Związków nie weszły. Weszli za to ludzie cieszący się zaufaniem swych towarzyszy, weszli KPP-owcy tacy właśnie jak Łuczak i Żyłka.

— Oni, towarzyszu, widzieli dobrze jaki jest duch w masach — mówił Żyłka używając zaimka „oni" dla oznaczenia związkowych bonzów. — Oczywiście nie byli tacy głupi, żeby po prostu nawoływać do likwidacji strajku. Gardłowali nawet, że słusznie strajk się prowadzi, że ludziom dyrekcja krzywdę chce zrobić, że się bronić trzeba. Solidaryzujemy się ze strajkującymi — mówili — tylko nie mamy zaufania do Komisji i stoimy z boku. I przez to stanie z boku sprawiali, że nikt z nami nie chciał rozmawiać, bo w Komisji nie był reprezentowany oficjalny czynnik związkowy. Nam ten czynnik nie był do niczego potrzebny, myśmy żadnych pertraktacji nie chcieli, ale ludzie po tygodniowym strajku zaczęli się oglądać i niepokoić, dlaczego ani dyrekcja, ani inspektor pracy ani nikt się sprawą strajku nie zajmuje. I wiedy ci ze związków dalej na wyścigi mącić w głowach, że tylko związki mogą sprawę do końca doprowadzić, że trzeba by Związki kierowały, że trzeba się zapisywać do Związków, bo one będą bronić swoich członków.

— Popłoch robili i cały strajk był im potrzebny po to, żeby członków nałapać i autorytet zyskać — podsumował sprawę Łuczak. — Wtedy to członek był dla Związku, a nie...

Urwał i zwrócił głowę w stronę drzwi, przez które weszła do gabinetu starsza kobieta i przystanęła u progu. Zafrasowana była i zmieszana tak że domyśleć się było łatwo, iż pierwszy raz znalazła się tu i że to jakiś kłopot ją sprowadził.

— Do Rady? — zapytał Łuczak mrużąc oczy.

Tak właśnie było. Przybyła była żoną jednego z robotników, który przed kilkoma dniami poszedł do szpitala na operację, niegroźną zresztą i częstą, jak się potem dowiedziałem. Usłyszawszy te wstępne wyjaśnienia Łuczak nie czekając aż dowie się o co kobiecie chodzi poruszył się na krześle.

— A jak się mąż czuje? — zapytał z widocznym zainteresowaniem.

— Nawet nienajgorzej. Niczego sobie. Leży i już mu się przykrzyć zaczyna w tym szpitalu — wyjaśniła z zadowoleniem rada, że może z kimś porozmawiać o najważniejszej dla niej sprawie.

— Dobrze. Jak tak, to dobrze — stwierdził Łuczak i spojrzawszy uważnie na interesantkę dodał: — Niech mu się pani kłania ode mnie i niech mu pani powie, żeby się porządnie leczył. Nie ma co za wcześnie do roboty przychodzić, bo ja i tak spytam się doktora, czy on tam nie uciekł za prędko.

— Też mu właśnie to samo mówię — podchwyciła z ożywieniem kobieta. — Zdrowie przecież najważniejsze, prawda?

Żyłka potrząsnął lekko głową i dmuchnął energicznie przez nos.

— Też mu się na rozmówki zebrało — szepnął pochylając się do mego ucha i popatrzył na Łuczaka surowo. Przewodniczący uśmiechnął się nieznacznie i z niezmąconym spokojem objaśniał kobiecie, gdzie i jak należy zabiegać o potrzebne jej zaświadczenia oraz komu płaci się składki związkowe. Na pożegnanie przypomniał raz jeszcze zadowolonej interesantce, by pozdrowiła męża od wszystkich towarzyszy i dopiero gdy zostaliśmy sami zwrócił się do Żyłki.

— A wy, towarzyszu, nie kręćcie nosem, bo po to tu siedzę żeby ludzi załatwiać.

— No dobrze, dobrze — zgodził się Żyłka. — Czasu szkoda na gadanie.

Łuczak uśmiechnął się po swojemu i wróciliśmy do strajku. Opowiadał teraz Żyłka o tym jak uważnie i umiejętnie trzeba było pracować w Komisji Strajkowej, by przeprowadzać postanowienia komórki partyjnej. Kłopot polegał na tym, by zachować w konspiracji członków tej komórki, by nie zdemaskować ich wobec stale i wszędzie obecnych szpicli z defensywy, prowokatorów i rozbijaczy.

— Musieliśmy ludziom tłumaczyć jak sprawa wygląda, do czego kto dąży i to było najważniejsze. Jak zrozumieli i zobaczyli po której stronie racja, gdzie interes robotników, to już trudności nie było. Chyba, że się trafiło na strachliwego człowieka, ale jak nie, to robota szła. Byli na przykład tacy jak Filip i Pawlicki — legioniści a dobrze pracowali w Komisji, dobrą robotę robili, nie wiedząc nawet, że nimi komuniści kierują.

— A tamci ze związku sanacyjnego czy z „Pracy" takich gorliwych udawali, że ludziom nieraz w głowie zamącili — dodał Łuczak. — Pod koniec strajku, jak dyrekcja zapowiedziała, że wypuści wozy na miasto z kontrolerami i łamistrajkami, to Falkowski gardłował, żeby bojówkę robić i rozbijać te tramwaje, które wyjadą. A to władzom było potrzebne, żeby sprowokować awantury, wypuścić policję na strajkujących i siłą nas złamać. Wytłumaczcie teraz rozgniewanym strajkiem ludziom, że Falkowski prowokuje. Krew ich przecież zalewała na wszystkie władze i dyrekcję w szczególności.

Znów otworzyły się drzwi i do pokoju zajrzał wysoki, tęgi tramwajarz. W pierwszej chwili miał zamiar się wycofać widząc przewodniczącego rady zajętego rozmową, ale dostrzegłszy Żyłkę, uśmiechnął się szeroko.

— A wy tu skąd? — pytał idąc z wyciągniętą ręką do Żyłki. — Na stare śmiecie zachciało się zajrzeć.

Przywitali się z wyraźnym obustronnym zadowoleniem. Przybyły odsunąwszy się lekko oglądał przez chwilę Żyłkę, potem zwrócił się do mnie.

— Przepraszam bardzo, ale musiałem się przywitać ze starym towarzyszem. Rzadki to gość u nas — wyjaśniał.

Żyłka przesunął ręką po szpakowatej, choć sfalowanej jeszcze czuprynie.

— A my tu właśnie o starych rzeczach rozmawiamy — rzekł a czerwone jego policzki drgnęły uśmiechem. — O strajku, tym z zimy 32-go. Powiedzcie no, waszym zdaniem, można go było wygrać?

Zapytany zamyślił się chwilę.

— Można — zdecydował wreszcie. — Trzeba było nie ustępować.

Łuczak pokiwał głową i chrząknął znacząco.

— Myśmy wam wtedy tak samo mówili, prawda?

— No tak, prawda. — Tęgi tramwajarz był lekko zakłopotany. — Ja, rozumiecie, niedawno wtedy pracowałem w tramwajach i jeszcze nie byłem wtajemniczony...

— Tacy co dawniej pracowali też dali się nabrać — przerwał te wyjaśnienia Żyłka. — Nie wy jeden. A kto, waszym zdaniem, najgorzej nam wtedy zaszkodził?

Czas jakiś zastanawialiśmy się w czwórkę nad przyczyną załamania się strajkujących i w rezultacie, trzej uczestnicy akcji doszli do wniosku, że największą szkodę poczynił Marciniak ze związku klasowego rozbijając jedność tramwajarzy. Zaraz potem przybyły począł się żegnać.

— Rad was zobaczyłem — rzekł ściskając rękę Żyłki.

— W Partii jesteście? — spytał Żyłka.

— Jeszcze nie — wtrącił się Łuczak. — Jeszcze nie. Tymczasem aktywista związkowy.

Gdy zostaliśmy znów w trójkę Łuczak zwrócił się do Żyłki z żartobliwą wymówką:

— Wam się znowu rozmówek zachciało.

— Widzieliście przecież, że to on zaczął — tłumaczył się Żyłka.

Wróciliśmy do naszej rozmowy, ale rwała się ona jeszcze kilka razy. Przychodzili interesanci do Łuczaka, starzy tramwajarze zachodzili przywitać się z Żyłką, słowem stale przerywały nam jakieś rozmówki. Zirytował się tym trochę Żyłka bo, jak mi potem powiedział, przekonany był, że nie mam czasu i mnie przede wszystkim te rozmówki nudzą i drażnią. Bo przecież mieliśmy rozmawiać o strajku, a tu co chwila wpadały nam jakieś sprawy dzisiejsze. Dla mnie zaś te właśnie rozmówki szczególnie mocno i wyraźnie pomagały zrozumieć tamte czasy odległe o dwadzieścia lat. Bez tych rozmówek nie potrafiłbym tak dobrze zrozumieć, że te dwadzieścia lat dzielące nas od strajku przyniosły z sobą coś takiego, czego nie znajdziemy w żadnym innym dwudziestoleciu. Wszystko się prawie przez ten czas zmieniło i to radykalnie zmieniło. Nie zmienili się tylko choć zestarzeli nieco tacy ludzie jak Łuczak i Żyłka.

Oni zmienili czas i życie.

Edward Szuster

TADEUSZ PAPIER

Pognała Jagna...

PIOSENKA o wołkach, które pognała Jagna na bagna, znana była szeroko w... Bagienkach i jak się to powiada „wzięta". Prezesa GS-u nie tyle zachwycała prosta, a budząca nieokreśloną tęsknotę melodia, ile zdrowa myśl, zawarta w słowach piosenki.

Ta sama piosenka rozlegała się pewnego późnego popołudnia (słońce chyliło się już za las) na drodze prowadzącej z Bagienek do wsi Nowa Radość. Drogą jechała fura, zwykła, kolebiąca się i rozklekotana chłopska furmanka, którą ciągnęły dwa niepokaźne konie. Na furze wypełnionej pękatymi worami siedziało dwóch chłopów: Piłak Jan i Piłak Wawrzyniec. Byli to dwaj bracia, którzy mieli osobne gospodarki, ale, jak to się teraz... coraz częściej spotyka żyli w przykładnej zgodzie. Należeli do tego samego zespołu uprawowego, kontraktowali wspólnie, przeto mimo osobnych gospodarek — interesy ich krzyżowały się i uzupełniały, a to wymagało wspólnych akcji. Jeden koń, ten kary ze strzałką na czole, należał do Wawrzyńca, a gniady do Jana. Konie były równego wzrostu, stąpały zgodnym krokiem, kiwając do taktu ogrzywionymi łbami. Wóz też był wspólny: przodek należał do Jana, a tył do Wawrzyńca. Bracia wracali ze spółdzielni w Bagienkach, gdzie pobrali mieszankę zbożową — wykę, jęczmień i owies — w ramach kontraktacji trzody chlewnej.

Zakurzyli. Bartłomiej szarpnął za lejce i wóz potoczył się szybciej. Młodszy Jan począł znowu wyśpiewywać: „Pognała Jagna"...

— Przestałbyś! — upomniał Wawrzyniec. — Konie nawet tulą uszy od tego krzyku!

Jan podskoczył na worku z mieszanką.

— Nie jest tak źle...

Cieszył się, że wiezie do domu upragnione ziarno.

— Część zasieję, część obrócę na śrutę — zaczął głośno obmyślać. Nagle uderzył Wawrzyńca w plecy i ni stąd ni zowąd zawołał:

— Jak tylko zaczną u nas mówić o spółdzielni, zapiszę się!

— Szybko jedziesz...

— Dzisiaj trzeba szybko.

— No — Wawrzyniec cmoknął na konie — nie wszystko, co nagłe, to dobre...

— Dajesz posłuch grubemu „Wojtkowi"? — Jan był młodszy i zapalczywszy. Gniewała go zawsze wyczekująca postawa brata. Przypomniał mu teraz historię z byłym sklepikarzem Wojciechowskim, przezwanym w skrócie „Wojtkiem". W ubiegłym roku, ulegając namowom sklepikarza, Wawrzyniec odstąpił swoją plantację buraka cukrowego podstawionemu pośrednikowi i w ten sposób stracił pół metra cukru. Wojciechowski miał zresztą nie takie sprawy na swoim sumieniu! Był znanym wichrzycielem, ale że czynił to w „rękawiczkach", więc zawsze mu uchodziło...

— Ech! — mruknął niecierpliwie Wawrzyniec. Spojrzał ukradkiem na brata i nagle zawołał:

— A to co?

Jan zerwał się przestraszony, a Wawrzyniec począł wstrzymywać konie.

— Prrr! Cholera jasna!

— Co się stało?!

— Nie widzisz? Patrz!

Na szarej powierzchni worków wiła się niezliczona ilość małych robaczków.

— Masz swoje wołki!

— To ci sprawa! — wykrzyknął Jan

— Masz swoje wołki! — powtórzył Wawrzyniec i począł batem smagać powierzchnię worków.

— Nawet na ubranie powchodziły!

Pierwszy opamiętał się Wawrzyniec, chwycił lejce i prawie w miejscu zawrócił końmi.

Słońce kryło się za najniższe stodoły w Bagienkach, kiedy Wawrzyniec zatrzymał wóz przed bramą spółdzielni.

Przerażony magazynier czym prędzej odbierał mieszankę, a tymczasem Jan rozbierał wóz z desek, czyścił go wiechciem ze słomy, wycierał szmatami i klął nieprzerwanie...

*

Sprawa skończyła się(a raczej zaczęła!) wysłaniem korespondencji do jednego z pism, w której czytaliśmy: „Za ten stan rzeczy nie należy w żadnym wypadku obciążać magazyniera, gdyż ten meldował o tym prezesowi GS ob. Bartoszkowi, a prezes tak poważną sprawę zlekceważył, mówiąc, że „i tak ludzie mieszankę rozbiorą, jeszcze zabraknie". Czy prezes ma prawo i może zanieczyszczać ludziom spichrze, ponieważ gdyby to się nie wykryło, na pewno każdy z nabywców wsypałby mieszankę na strych czy do spichrza i wprowadził do swojego zabudowania tak groźnego szkodnika, wołka zbożowego!"

Z kolei zapytajmy korespondenta, czy magazynier powinien poprzestać na interwencji u prezesa, skoro lekkomyślna postawa tego obywatela i jego powiązania z różnymi „Wojciechowskim" z powiatu były publiczną tajemnicą?

Miejmy nadzieję, że po tej historii byłemu panu prezesowi odechce się raz na zawsze śpiewać piosneczki o wołkach...

Tadeusz Papier